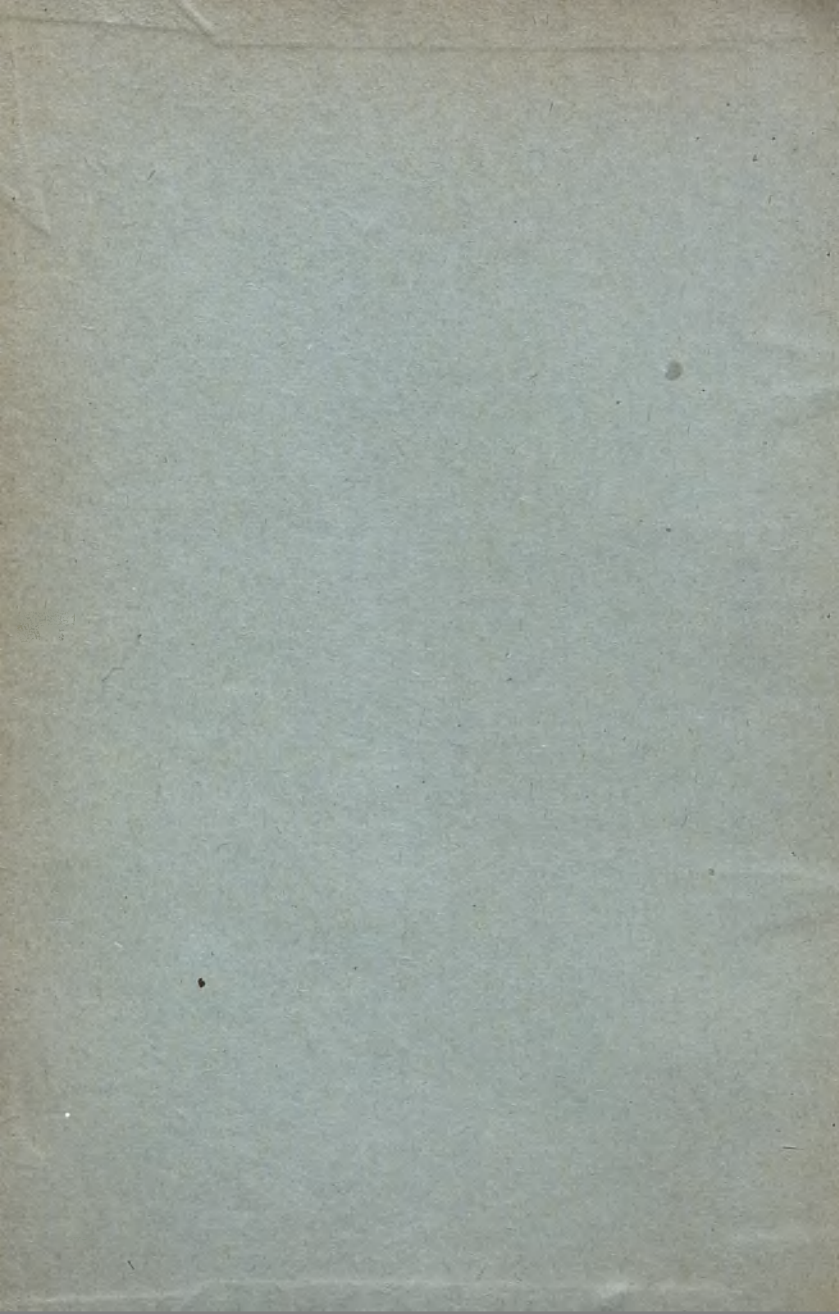


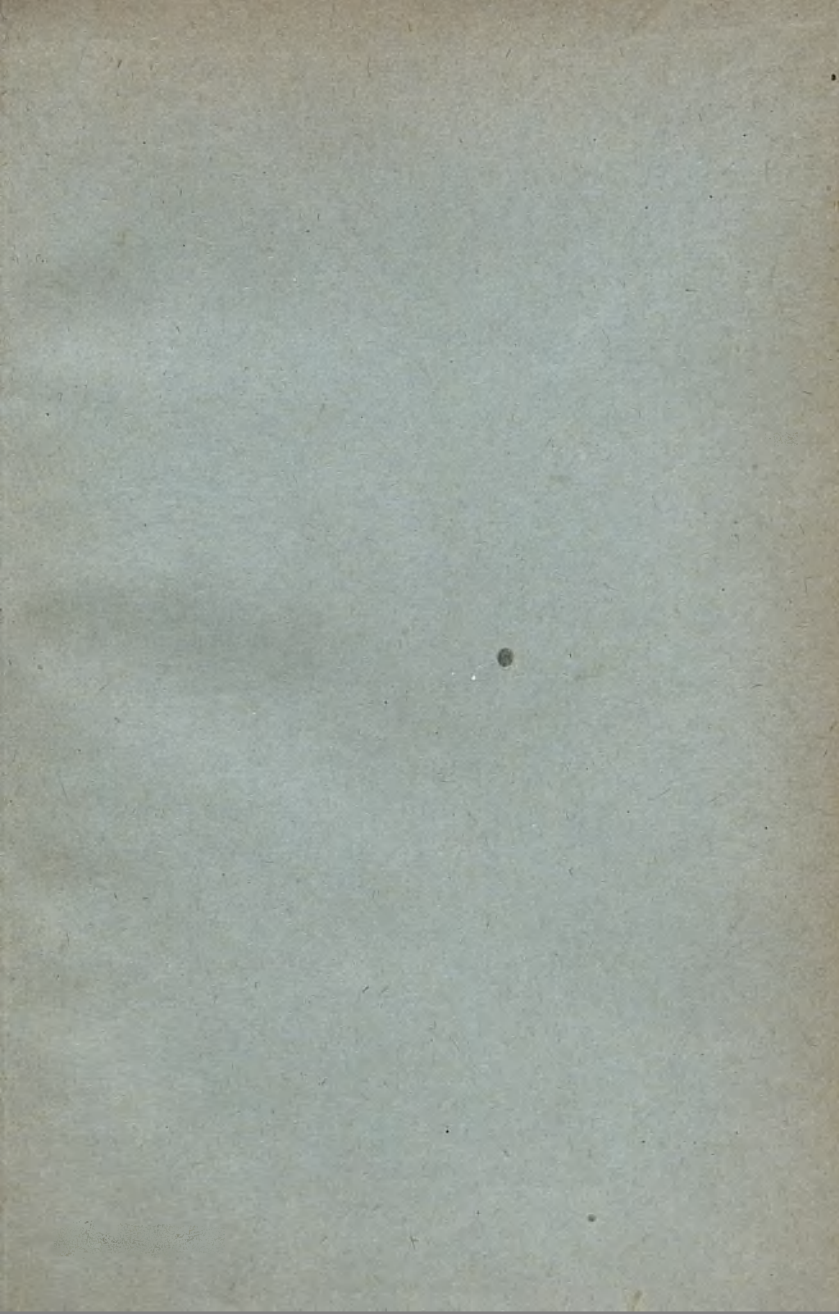
Śląska Biblioteka Publiczna

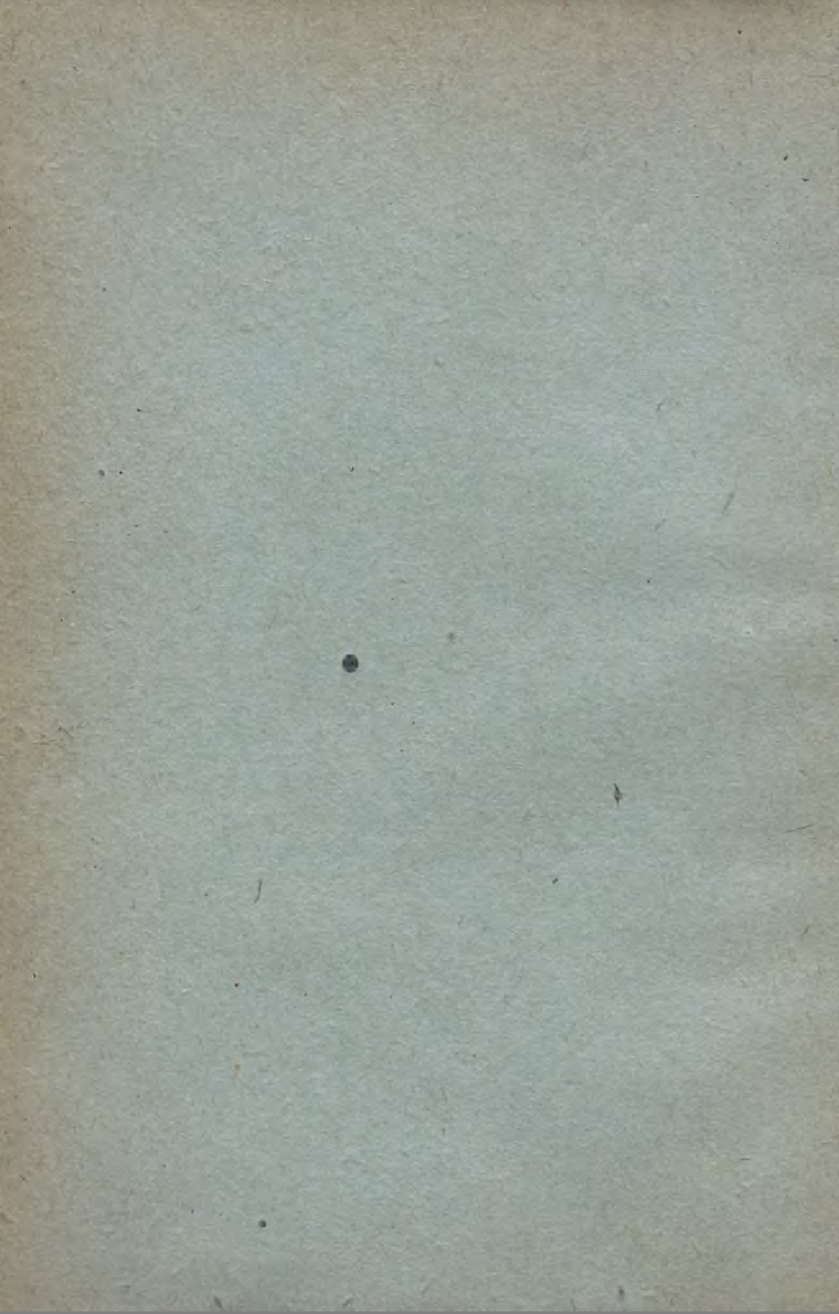
67365

I

B







Melania Flarczewska.

OBRAZKI.

*Proboszcz. — Na Górnym
Śląsku. — Tatrzański
przewodnik. — Nad morzem.
Wółka i Willburg.*

WARSZAWA.

WYDAŁA KSIĘGARNIA

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1893.

O B R A Ż K I.

28

Melania Barczewska.

OBRZKI.

WARSZAWA.

NAKLADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1893.

78

238/49

67365
I

Госел Крайне

18. II. 1949

200.21

Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 Юня 1892 года.



Najlepszej Ukochanej Matce.

PROBOSZCZ.

(OBRAZEK Z ŁUŻYC).

Codziennie o siódmej z rana odprawia mszę w kościele parafialnym. Wszedłszy do zakrystyi, klęka przed wizerunkiem Chrystusa ukrzyżowanego, odmawia krótką modlitwę, i włożywszy na siebie ornat, śpieszy do ołtarza. Kościół już wypełniony pobożnymi. Wszystko to ludźmi pracy. Mężczyźni od warsztatów oderwali się na krótką chwilę, kobiety z torebkami lub koszykami w ręku siadają w ławkach. Usta szepczą „Ave,“ podczas gdy oczy, wpatrzone w ołtarz, śledzą postać ukochanego „fararza.“ W skupieniu ducha, z głębokiem przejęciem odprawia on ofiarę. Przy „Confiteor“ modli się o nawrócenie obłąkanych, których „Credo“ zachwiała lśniąca potęgą złota. Ze łąz w oku przewraca kartki mszału.

Schodząc od ołtarza, spogląda na modlących się i w duszy raz jeszcze błogosławi wszystkich swoich, blizkich i dalekich.

W zakrystyi otacza go przybyłych gromadka.

— *Knježe farario!*—ozwie się po łużycku w dużym białym czepcu od Ciemierzyc kobieta — mój Marko chory, przyjść nie może; możebyście dziś do nas zaszli?

Nie obraża proboszcza poufny ton prośby. Marko to dobry, „swérny“ Serb, a żona zacna „Serbowka.“

— *Frau Gräfin Einsiedel* prosi księdza proboszcza dziś do siebie—przemawia tuż zaraz wygalonowany lokaj hrabiny, mieszkającej w okolicznym zamku.—Wieczorem sesya Albertynek, księżna Oltz przewodniczy.

— Za godzinę będę u was — odpowiada proboszcz wieśniaczce. A lokajowi tłómaczy: — *Es thut mir leid*, ale dziś przybyć nie mogę; wieczorem mam posiedzenie w domu sierot.

— Hanika mi umarła, nie mam za co jej pochować. Ksiądz w naszej parafii Niemiec—skarży się z cicha wiejski parobek.

Proboszcz zanurza dłoń w kieszeni. Daremne poszukiwania—pustką świeci „waćok“ wyszarzanej sutanny; więc wybiega szybko z zakrystyi, a za nim biedny, od gór przybyły wieśniak. Mieszkanie sam sobie otwiera proboszcz, nie ma bowiem służącej, ani służącego.

Kilka prostych krzeseł, stół i biurko zarzucone aktami i księgami parafialnemi, zapełniają pierwszy pokój. Ściany puste, białe ich tło zdobi jedynie czarny drewniany krzyż.

Na uboczu siada zasmucony wieśniak, proboszcz tymczasem do biurka, otwiera; w małej szufladzie leżą cztery marki—oddaje je pośpiesznie wieśniakowi. W tejże samej chwili wchodzi chłopiec zakrystyana. Na stoliku stawia imbryczek z kawą i bułki, otwiera szafkę w murze, wyjmuje cukierniczkę—pusta; chłopak prosi proboszcza o pieniądze. Funt cukru kosztuje 28 fenigów—proboszcz nie ma ani dwudziestu. Wypije kawę gorzką—pomyślał chłopak, wzruszając ramionami. Nie po raz pierwszy wypił już taką. Proboszcz przechodzi do drugiego pokoju. I tu, podobnie jak w pierwszym, uderza prostota. Szafy, zarzucone książkami, stanowią jedyne umeblowanie; proboszcz siada przy stoliku—cały zapas listów oczekuje na niego. Rozrywa koperty, lecz w tej chwili zaturkotało coś przed domem—odrzuca na bok ciekawe wiadomości i śpieszy do okna, aby otworzyć lufcik.

— *Kto je?*—pyta się stojącego przed domem zakrystyana.

— Z Żidowa, do chrztu — odpowiada zapytany.

Ksiądz proboszcz może się wyręczyć wikaryuszem, zresztą nie jego tydzień; lecz on nie zwraca na to uwagi—w Żidowie dobrzy mieszkają ludzie. On tam zna wszystkich, musi pobłogosławić dziecko, musi je naznaczyć chryzmatem chrztu na prawego obywatela ubogiej *wotłiny*. Chłopiec zakrystyana robi uwagę, że nie jadł jeszcze śniadania; „później”—odpowiada proboszcz i śpieszy do kościoła. Rodzice i chrzestni otaczają proboszcza. On z uśmiechem spogląda na drobną, rozplakaną twarz dzieciny. Gwarzy z rodzicami, obiecuje w przyszłości zająć się jej losem. Wtem zegar bije dziewiątą i proboszcz opuszcza kościół, ponieważ o dziewiątej obiecał odwiedzić Marka w Ciemierzycach.

Zarzuciwszy na siebie płaszcz, wychodzi z plebanii, omija miasto, bocznemi pójdzie drożynami—za dużo bowiem ma znajomych, ten i ów mógłby go zaczepić. A stary Marko widocznie z ważnym oczekuje interesem, powtórę cały dzień proboszcz ma wypełniony pracą. O jedenastej musi już być z powrotem w mieście, na lekcyi religii, którą wyklada w elementarnej szkółce.

Ranek prześliczny, wiosenne słońce wzniosło się w górę i całym bogactwem promieni oblało zielone łąki i pola. Zapach powietrza

i spulchnionej świeżo pługami ziemi odświeża piersi proboszcza.

Przybywa mu sił i młodości, z całą swobodą kroczy wśród zieleni wijących się ścieżek. Zna każdy zagon, każde drzewko, jakby w własnym swoim ogrodzie. Na plebanii niema jednak ogrodu, drzew, ani kwiatów. Lecz proboszcz nigdy za nimi nie tęskni. Wszystkie pola i ogrody parafian są jego zarazem własnością. Na całej przestrzeni, od szczytu Czarneho Boha aż do błot nadszprewiańskich, cała ziemia to jeden ze zcją pielęgnowany przez niego ogród. Proboszcz z zadowoleniem spogląda na uprawne zagony. On wie, które z nich należą do bogatego właściciela Niemca. Mimo całej kultury, zbite w jedną masę, jak olbrzym straszą pod linię wyciągniętą miarą. Wielkością chłoną, zakrywają drobne zagony *narodowców*. Te ostatnie proboszcz odróżni zaraz—zroszone krwią i łzami, bujną porosły zielenią. Natura hojnie je wyposażyła; proboszcz w uprawnych grządkach widzi wieki cichej, systematycznej pracy. Myśl ta napętnia go szczęściem—ożywiony, z wesołą twarzą, zatrzymuje się przed chatą *hospodarjo* Marka.

— *Boże mje* — mówi na powitanie gospodyni. Cała gromadka dzieci otacza proboszcza i ciągnie do łóżka, na którem spoczywa ojciec

rodziny, Marko. Najstarszy chłopiec z zakłopotaniem spogląda z boku na proboszcza, matka przedstawia go przybyłemu, a stary Marko tłumaczy powód, dla którego sprowadził do siebie proboszcza.

Chory, od kilku tygodni wstać z łóżka nie może. *Prozniny* ¹⁾ wielkanocne już się skończyły, chłopca trzeba oddać do szkół. Poczciwy wieśniak lęka się dla syna złego wpływu, poleca go opiece proboszcza. Matka ma obawę, czy Janko w mieście nie zatraci wyniesionych z domu zasad. Proboszcz zajmie się chłopcem, obiecuje nawet dawać mu lekcye—wieczorem znajdzie jeszcze dla niego godzinę czasu.

I w chacie Marka robi się coraz weselej, prosty wieśniak i licencyat świętej teologii gwarzą jak dwaj rodzeni bracia. Wielka, nierozzerwalna nić łączy obydwóch, w jeden takt biją serca. Rozmowa pełnymi dźwiękami rozbrzmiewa wśród skromnych ścian dworku. Echo jej płynie daleko, ku wzgórzom Lubinu ²⁾ i trąca o szczyty odwiecznych sosen, wśród których błędzą duchy dawnych bohaterów. Dzieci skaczą dokoła proboszcza; a gdy opuścił

¹⁾ Ferye po łużycku.

²⁾ Góra na saskich Łużycach.

progi ich domu, patrzą tak długo za odchodzącym, aż póki wśród ciemnej lipowej alei nie zginie im z przed oczu postać ulubionego *fararza*.

O jedenastej stanął proboszcz na czas w szkole elementarnej. Na lekcję wypadł rozbiór składu apostolskiego.

— Duch Święty zstąpił na ziemię i udzielił uczniom daru mowy, który oni czcili i cenić ponad wszystko winni — tłumaczy proboszcz, a słowa jego proste płyną z serca i rozgrzewają obecnych.

— *Haj* ¹⁾, *ja budu swérny* — mówi jeden z malców, wychodząc o dwunastej ze szkoły. Wypowiedziane przez siebie zdanie podkreśla silnem szturchnięciem w bok idącego towarzysza.

— *Haj* — powtarza zaczepiony; i wzięwszy się za ręce, biegną malcy do miasta, okrążają parafię i dom proboszcza, który w tej chwili wspólnie z wikaryuszami zasiada do stołu.

Usługujący chłopiec zwraca uwagę, że proboszcz powinien mieć zdwojony apetyt, ponieważ nie miał czasu jeść śniadania. Lecz proboszcz jest jakoś nieswój, niespokojny spogląda na zegar. Co wtorek bowiem o dwunastej

¹⁾ Tak.

w południe przychodzi do niego robotnik, z pod Poznania przybyły w te strony. Od pół roku pracuje w fabryce wyrobów żelaznych. Przy konfesyonale zapoznał się z proboszczem i od-tąd co wtorek, w południowej godzinie, gdy rozpuszczają robotników na obiad, on śpieszy na plebanie po jaką książkę, których zapas znajdzie zawsze w skromnem mieszkaniu proboszcza. Po raz pierwszy od czasu znajomości z nim nie zjawił się w umówionej godzinie na plebanii. Może go zaszło co ważnego? może zachorował lub stracił robotę?—niepokoi się proboszcz.

Po niesporach, które zwykle sam odprawa, idzie proboszcz do fabryki za miasto. Jak w ulu roi się na dziedzińcu fabrycznym tłum robotników. Proboszcz i tu ma swoich znajomych i przyjaciół. Spotkawszy dozorcę, dopytuje się o Kubę Woźniaka; lecz smutną odbiera wiadomość: sztaba żelaza, spadając, przygniotła mu piersi; zranionego mocno zarząd fabryczny odesłał do szpitala. Dyrektor fabryki zaprasza proboszcza do siebie—dawno się nie widzieli. Wieczorem przysyłają z fabryki konie do miasta, więc proboszcz nie potrzebuje męczyć się i iść pieszo taki kawał drogi. A tymczasem pogawędzą trochę, wypiją kufel piwa, zapalą cygara i czas zejdzie szybko i wesoło.

Lecz proboszcz odmawia zaproszeniu. On ma na myśli robotnika. Musi iść do niego zaraz. Kto wie, w jakim znajdzie go stanie? To przecież jego obowiązek, powinność księdza, a przytem serce go ciągnie do samotnika, który w tej chwili może więcej niż kiedykolwiek pragnie go zobaczyć. Deszcz zaczyna padać. Dyrektor, wyczerpawszy cały zasób wymowy, wzrusza ramionami, patrząc, jak ksiądz bez kaloszy i parasola brnie po błocie do miasta. Już nie na plebanie, tylko do szpitala podąża proboszcz. Zafrasowany, nie widzi nawet czarnych chmur, ani kaskady deszczu, który spływa mu na ramiona.

Dotarł wreszcie do szpitala, szwajcar wprowadza go na salę operacyjną. W samym kącie spoczywa biedny Kuba. Posługacz szpitalny w białej szlafmicy i fartuchu krząta się dokoła łóżka, dozorczyńni podaje lekarstwo; lecz Kuba ani patrzy na nich, wyciągając spracowaną rękę na przywitanie proboszcza.

— Dobrodzieju!—mówi słabym głosem—co się to ze mną stało chudziakiem!... koniec mój nadszedł.

— Nie umrzecie, nie — uspokaja chorego proboszcz, a chłopu aż oczy zabłysły łzami, gdy w godzinę śmierci posłyszał ulubiony głos.

— O, Jezusiczkul! że też ksiądz proboszcz zajrzał jeszcze do mnie! Ja tu wśród obcych boję się umierać... Ratujcie mnie, dobrodzieju!

Gość go ogarnia—duchem jest znów nad Wartą, widzi wszystkich swoich; siwa głowa proboszcza mieni mu się jak z gwiazd korona; a chociaż oczy zachodzą już bielmem, usta szepczą jeszcze z cicha:

— W Dąbrowie ozimina zieleni się na polach... O! rety! jak tam pięknie... Maryś wypędza krowy... w kościele na organach grają... stary Maciek „Pod Twoją obronę“ zaczyna pierwszy... O! rety! dobrodzieju!

Ze łzą w oku opuszcza po chwili proboszcz szpital. Nogi nie bardzo go chcą słuchać, tak czuje się zasmuconym śmiercią biednego robotnika. Dzień już na schyłku, a on dużo ma przed sobą pracy. Musi napisać referat, który odczyta na wieczornem posiedzeniu, a przedewszystkiem jeszcze sprawdzi kwartalne rachunki parafii.

Przerzuca szybko arkusze, dodaje cyfry i cieszy się rezultatem, że kasa kościelna w dobrym jest stanie, że oszczędzał cudze, powierzone swojej pieczy grosze. Rażniej mu już idzie pisanie referatu: staruszek zapala się, kreśląc przemowę do współtowarzyszów pracy i działania. Z uderzeniem siódmej godziny za-

rzuca na siebie płaszcz i wychodzi na miasto. Na schodach bieg jego myśli przerywają wymówione słowa:

— *Herr President* prosi księdza proboszcza do siebie na kolacyę; przyjechał brat jego ekscelencyi księdza biskupa, pragnie się widzieć z księdzem proboszczem.

— *Das freut mich sehr*, lecz przybyć nie mogę; idę właśnie na sesyę; mocno przepraszam, jutro służyć będę.

Lokaj zdziwiony odchodzi, a proboszcz biegnie tymczasem za miasto, gdzie już w skromnym domku oczekuje jego przybycia garstka łużyckich Serbów.

Proboszcz przeczuwa, że nad jego głową gromadzi się burza—nie lęka jej się wcale. Urzędów i tytułów nie pragnie, nie stara się o protekcyę wielkich i możnych. Obowiązki względem parafian wypełnia święcie; za majątkiem, bogatą prebendą, nie myśli gonić. Skromne dochody wystarczają na jego potrzeby—ileż on jeszcze nędzy i potrzeb wspiera i pociesza swoim groszem! Słowo proboszcza jest wyrocznią dla parafian, lecz on nie nadużywa swego wpływu, chociaż potęgą ducha podnosi i uzacnia wielu. Życie płynie mu szybko, dnie jak godziny, w ciągłej, cichej a ofiarnej pracy.



— Życie moje należy nie do mnie, lecz do wielkiej mojej rodziny, do parafian moich — rozmyśla proboszcz, wracając o dziewiątej do domu. — Świecenie kapłaństwa, kapłaństwa idei, przyjąłem na swoje barki — powtarza w myśli, zasiadając po skromnej wieszery do ulubionych swoich książek i manuskryptów.

Po całodzienniej pracy jedyna to chwila wypoczynku. Poprawia korektę świeżo napisanej powieści dla ludu, wykończy artykuł historycznej treści; a gdy północ bije na ratuszowym zegarze, przerzuca kartki leżącej na stole książki. Zmęczone oczy zatrzymują się na podkreślonym przez autora ustępie: „Bóg miłością swoją obejmuje wszechświat, drobne atomy, pyły ciał niebieskich.“

Proboszcz zamyka książkę, podchodzi do okna, i patrząc na gwiazdziste niebo, modli się z cicha.

NA GÓRNYM ŚLĄSKU.

— Panie dyrektorze! grozi nieszczęście — przemówił po niemiecku młody człowiek, otwierając drzwi zarzuconego stosem ksiąg i papierów pokoju.

— *Was?*

— Nieszczęście!... ziemia się rysuje, szpary widoczne. Pan dyrektor raczy zejść na miejsce i przekonać się osobiście — brzmiała odpowiedź.

Na te słowa pan Stiehl, dyrektor kopalni węgla, Augustahütte zwanej, zdjął szafirowe okulary, rzucił trzymaną w ręku książkę, i otworzywszy drzwi, prowadzące na korytarz, zawołał:

— *Herr Skalsky!* proszę iść na przód!

Na dość znacznej przestrzeni, opasanej wokoło murem, wznosiły się różnego kształtu i miary zabudowania. Na pierwszym planie, wprost bramy wjazdowej, szeroka oszklona szopa osłaniała główne do wnętrza ziemi wej-

ście. Poza nią piętrzyły się olbrzymie piramidy węgla oraz strzelały w górę kominy fabryk i warsztatów, na całej przestrzeni rozrzuconych.

Za murem, okalającym zabudowania, z jednej strony widniały domki górników; z drugiej—ujęty w ciemno-zielone ramy angielskiego parku, wspaniały, w nowo-gotyckim stylu pałac hrabiego O., właściciela jednej z najbogatszych na Górnym Śląsku kopalni. Wzgórze, na którem wznosił się pałac, stanowiło rażący kontrast z przestrzenią, opasaną grubym, jakby fortecznym murem. Na niej wszystko czarne, zadymione i skamieniałe. Ziemia pod stopami, dachy domów, szopy, warsztaty, nawet drzewa, w opuszczeniu rosnące, tracą właściwy swój kolor. Węgiel przenika ziemię i mury, tłumi oddech w piersiach, zasłania oczy—słowem panuje nad wszystkim.

Tutaj lśniąca na jasnem tle nieba tarcza słoneczna inną przybiera barwę. Jakby przyćmiona cieniutką warstwą pyłu, co unosi się w powietrzu, przez żalobną opaskę spogląda na ziemię, na której życie kipi, wre i płonie wszystkimi tętnami. Na powierzchni, w warsztatach i szopach, snują się poczerniałe twarze robotników. Skrzyp pił, uderzanie młotów, świst co chwila przebiegającej lokomotywy—

wszystko to razem zlewa się w dziwny, czasami przerażający chaos, który tłumi płynące z ziemi odgłosy.

A niżej, o kilkaset łokci głębiej, wśród ganków i galeryi przesuwają się górnicy.

Tu siłą dynamitu rozsadzają i odcinają bryły, tam ładują wózki węglami, a kilofy i oskardy miarowo uderzają o twardą i zimną powierzchnię. Grobowa, wiekuista noc nie straszy górniczej drużyny. Lśniące metalicznym blaskiem sklepienia pociągają ich fantastycznością obrazu, nad którym załamuje się blade, drżące światło migocących się lampek.

Na całej przestrzeni, tak w głębiach, jak i na powierzchni, ani jedna stopa ziemi nie leży bezczynnie, ani jedna dłoń daremnie nie marnuje czasu. Pracują wszyscy, poruszani wielką machiną, kierowaną silną, żelazną dłonią dyrektora fabryki.

Kiedy pan Stiehl z towarzyszącym mu dozorcą, Skalskim, opuścił kantor i szybko biegł w stronę stawu, a raczej sadzawki, z obawą oglądano się za nimi. Robotnicy domyślali się, iż musiał zajść jakiś nadzwyczajny, grożący kopalniom wypadek. Skalski pierwszy stanął na miejscu; lecz właśnie w chwili, gdy i dyrektor zatrzymał się nad brzegiem wody, powierzchnia jej falowała spokojnie, a młynki

i bąble, trapiące od dni kilku dozorcę, znikły, jakby strwożone zjawieniem się dyrektora.

— Cóż to? żarty, czy co? Po raz drugi sprowadzasz mnie dzisiaj na miejsce, grożące niby nieszczęściem — przemówił ostro Stiehl.

— Panie dyrektorze, przed półgodziną woda rzeczywiście wznosiła się i opadała, a szpary były widoczne — usprawiedliwiał się Skalski; — może lepiej wycofać górników i zawiesić roboty?

— Panie dozorczo, proszę nie zapominać, iż w Augustahütte niema dwóch dyrektorów — akcentując każdy wyraz, odezwał się Stiehl, a twarz jego, zazwyczaj ponura, przybrała surowszy, niemal wzdurliwy wyraz.

— Nie śmiałbym nawet; ale upewniam pana dyrektora, iż niebezpieczeństwo jest blizkie. Lepiej zawiesić roboty...

— I do strejku zachęcać może także masz zamiary? — przerwał dyrektor, topiąc badawcze, przenikliwe spojrzenie w twarzy młodzieńca. — Proszę nie mieszać się w moje atrybucye — dodał, zmierzając w stronę kantoru.

Po odejściu dyrektora Skalski stał jeszcze kilka minut, zapatrzony w powierzchnię stawu, na którym ukazywały się znów grożące znaki, a woda, zmniejszając się gwałtownie, odsłania-

ła załomy i szpary, w błotnistej, mułowatej głębinie wydrążone.

Od dwóch lat pełniąc obowiązki starszego dozorca, Skalski znał każdą stopę ziemi, każdy zakątek, objęty zabudowaniami fabrycznymi. Oddany biernej, mechanicznej pracy, miał jednak o wiele więcej, aniżeli niejeden ze starszych urzędników, wiadomości i znajomości górnictwa. Głębie i podziemia nie były mu obce, znał ich budowę, wiedział, gdzie najlepsza żyła węgla i gdzie dawne, wyczerpane już, spoczywają *zroby*. Podczas wypoczynku, gdy robotnicy posilali się, Skalski wsiadał na pierwszy lepszy wózek i spuszczał się do wnętrza ziemi. Przebiegał ganki i galerye, rozbijał kilofem węgle, lub, siedząc na odłame, słuchał po raz setny powtarzanych przez śląskich *bergmanów* opowieści o duchach, co na dnie kopalni strzegą ukrytych w łonie ziemi skarbów. Mały staw, biejący za murem fabrycznym, niepokoił go od dni kilku. Przechodząc codziennie tą stroną, zauważył, iż ziemia, usuwając się z pod powierzchni wody, grozi zapadnięciem. O swoim spostrzeżeniu zawiadomił dyrektora, lecz w zamian otrzymał tylko surowe napomnienie i wymówki. Niezrażony niepowodzeniem, przekonany, iż niema ani chwili do stracenia, pobiegł górnikom zwierzyć się ze swoich obaw.

Przy wejściu do szopy stał młody Franek Mi-goń, przyjaciel wielki Skalskiego, jeden z najlepszych i najinteligentniejszych z całej kopalni górników.

— Byli nad *rzęsikiem*... Co tam robili? — zapytał, witając Skalskiego. — Co słyhać?

— Co? Złe słyhać, mój Franku: staw może się zapaść. Ostrzegłem dyrektora, ale powiedział, że bym się nie mieszał do tego, na czym się nie znam.

— Grubelok! oni się nie znają — odparł urażony na dyrektora Franek, w pojęciu którego Skalski, co się tak pięknie *rzędził* i nie gardził grubelocką mową Ślązaków, był mędrszym nawet od samego *fararza* Niemca.

— Ale ja i tak na swoją odpowiedzialność zawieszę roboty. Niech się co chce dzieje, muszę ludzi ratować.

— A co robią? — zapytał górnik.

— Dam sygnał trwogi — odpowiedział Skalski; mówiąc to, pobiegł do głównej szopy, schwycił za dzwon, umieszczony przy wejściu, i z całej siły weń uderzył.

Głos dzwonu, połączonego z kopalnią drutami, przedarł się do głębi. Taki sygnał ścinał krew w żyłach górników. Był on zawsze zwiastunem grożącego niebezpieczeństwa. Jeden okrzyk stłumiony, przeszywający na wskrós,

wydobył się z podziemia. Górnicy rzucili kilofy, stanęły maszyny, z warsztatów wybiegli robotnicy.

W jednej chwili dziedziniec fabryczny zappełnił się tłumem ciekawych i wystraszonych. Dyrektor zjawił się w szopie.

— *Was machen Sie dort?* — zapytał Skalskiego.

— Staw się zapada, szyb Kronprinca niepewny.

Dyrektor nie przeczył już teraz, lecz wystraszony sam począł dawać rozkazy. Popłoch zrobił się wielki. Wózki, przepełnione robotnikami, wjeżdżały co chwila na powierzchnię ziemi. Łamały się schody, gięły drabinki pod ciężarem uciekających górników, którzy w podziemiach dostrzegli, że usuwające się z wolna sklepienia węgla tłoczy spadająca na ich barki ziemia. Straszna niepewność zamykała wszystkim usta, z trwogą spoglądano w stronę stawu. Jeszcze tylko jedna chwila—już ostatni wózek, wiozący bladych, ogłuszonych trwogą i brakiem powietrza robotników, dostał się na powierzchnię,—a na gładkiej tafli wody coś się zagotowało, zakipiało, ziemia usunęła się, zerwała i z ciężkim, podobnym do straszego grzmotu łoskotem zapadła się w otchłań bezdenną.

Trzy dni i trzy noce pracowano bez przerwy nad odkopaniem zasypanych ganków i galeryi. Całe trzy dni Skalski nie pokazywał się w domu. Kiedy czwartego przyszedł nad wieczorem, blady ze znużenia, matka powitała go słowami:

— Mój Zygmuś, czemu ty tak pracujesz i zabijasz się dla nich? Dyrektor nie ocenia twojej pracy. Przynajmniej teraz powinien odwdziżyć się. Ciekawam, co by robił, gdyby była twoja przytomność nie ocaliła życia tylu ludzi?

— Mniejsza o ich wdzięczność, nie dbam o nią wcale; spełniłem, co do mnie należało. Ale wie mateczka—dodał po chwili, zdejmując z siebie zapyloną od węgla bieliznę, — w bytomskim blacie opisane całe zdarzenie i Stiehl występuje jako bohater, którego energii i przytomności umysłu setki ludzi zawdzięcza życie.

Matka nie znalazła na te słowa odpowiedzi. Mieszkając dłuższy czas na Śląsku, znała już dobrze miejscowe stosunki i do niesprawiedliwości przyzwyczać się umiała. Pocałowała tylko syna w czoło, odgarnęła włosy, na których świeciły jeszcze błyszczące pyłki węgla, i przeszła do kuchni, aby zająć się przygotowaniem wieczerzy.

Zygmunt usiadł w otwartem oknie. Spoglądał na daleki, roztaczający się przed jego oczyma obraz. Na jasnym, przystrojonem miryadami gwiazd niebie rysował się wysoki, igrający z wiatrem słup iskier i dymu. Zapatrzonemu w ten obraz stanęły w pamięci chwile, w których przed dwunastu laty, przybywszy z matką na mieszkanie do Bytomia, ujrzał po raz pierwszy taki sam słup, tryskający z otaczających miasto fabryk. Dziecinną jego wyobraźnię zajął widok wiecznie ziejących parą machin i to mrowisko snujących się jak widma robotników. Przypomniiał sobie, że, dzieckiem będąc, zamiast, podobnie jak rówieśnicy, biegać na przechadzkę do lasu, on, niepostrzeżony przez nikogo, wsuwał się na dziedziniec fabryczny i z rozkoszą wsłuchiwał w huk młotów lub w głuche uderzenia oskardów. Bywało, iż czasami kładł się na ziemi, nadstawiał ucha, sądząc, iż owe z głębin płynące odgłosy wypowiedzą mu wszystkie tajemnice, w czarnem jej łonie ukryte.

Przy wrażliwem, poetycznem usposobieniu Skalski miał charakter czynny i energiczny, zahartowany od dzieciństwa w szkole życia. Matka dawała lekcye francuskiego; Zygmunt, wprawiwszy się dobrze w niemiecki, starszym nawet kolegom udzielał korepetycye.

Wprawdzie bieda często im dokuczyła. Zygmunt kilka lat chodził w jednej surducinie, którą matka z paltota ojca przerabiała wciąż i rozszerzała. Koledzy wyśmiewali się z niego, lecz on nie dbał o to wcale—był z nimi na grzecznej, ale ceremonialnej stopie. Nic go z nimi nie łączyło, nie rozumieli się nawzajem. Gwarne, wesołe ich towarzystwo zastępowała mu matka, którą cenił i kochał szalenie—z nią było mu zawsze najmilej. A kiedy zapragnął obcych twarzy, wówczas szedł za miasto, do kopalni, gdzie wśród górników porobił sobie znajomości. Robotnicy, osmaleni dymem i pyłem węgla, mówiący jego językiem, byli mu miłsi nad wymuskanych Niemczyków.

Skalski miał jeden cel, do którego od dziecka dążył wytrwale: po ukończeniu gimnazjum chciał iść do Berlina słuchać kursów górniczych.

Kiedy właśnie po złożeniu egzaminu dojrzałości wybierał się na uniwersytet, w numerze bytomskiej gazety wyczytał ogłoszenie jednej z większych kopalni na górnym Śląsku, potrzebującej dozorcę robót z wyższem, gimnazyalnem wykształceniem.

Ogłoszenie to było na czasie, Zygmunt skorzystał z niego. Dla ubogiego dwudziestoletniego chłopca ofiarowana wraz z mieszka-

niem i należącym doń ogrodem pensya była znaczną. Przy skromnych potrzebach obojga mógł nawet drobne oszczędności odkładać na późniejsze uniwersyteckie czasy. Matka z radością przyjęła plan Zygmunta, który dwa lata postanowił pracować w kopalniach jako dozorca i tym sposobem praktycznie oznajomić się z ukochanym przez siebie zawodem. Osiadłszy w Augustahütte, pracował nad miarę. Dyrektor wyzyskiwał nie tylko jego pracę, ale i zdolności. W dzień pilnował robotników; wieczorem, powołany do kantoru, w zastępstwie dyrektora pisywać musiał listy lub regulować rachunki; słowem, jak Figaro, rozsyłany na wszystkie strony, spełniał rozkazy. Nieraz krew ścinała mu się w żyłach na szorstkie, nieludzkie obchodzenie się dyrektora. Cel, do którego dążył, nie pozwalał mu upadać na duchu. Powtórę zżył się z górnikami, przywiązał do tego ludu, który sam garnał się do niego i miał w nim zaufanie. Dyrektor, przyjmując Skalskiego, widział w nim tylko maszynę, powolną swoim rozkazom—*eine dummen polnischen Kerl*, jak mawiał o nim zwykle. Lecz ten głupi *kerl* miał nad wiek doświadczenie i wiadomości, wprawiające w podziw fachowego Niemca. Dyrektor nienawidził też za to Skalskiego, lecz znosił, bo Skalski pracował za

trzech, był pilny, posłuszny—i nieraz dumny ze swej nauki dyrektor korzystał z uwag skromnego dozorca. Lecz o tem nikt nigdy nie wiedział. Skalskiemu zresztą nie chodziło o to wcale. W Stiehlu widział zwierzchnika, którego spełniać rozkazy uważał za swój obowiązek. Poza godzinami służby unikał go starannie.

Dla szlachetnie myślącej i prawej duszy Skalskiego człowiek, dla którego wszystko, co nie było talarem lub Niemcem, nie istniało na świecie, nie mógł być sympatycznym. Szczególniej ów wypadek zaważenia się stawu i lekceważenie życia setek ludzi wstrętem go przejmowały.

Przez pierwsze jeszcze dni, zajęty pracą, nie miał nawet czasu pomyśleć o całym nieszczęściu, które wisiało nad głowami ulubionych mu górników. Lecz wróciwszy do domu, gdy stojąc w otwartym oknie, patrzył na gwar i życie, jakie, mimo cieniów nocy, wrzało w kopalniach i fabrykach, obraz szczęśliwie uniknionej katastrofy stanął mu przed oczyma.

Jeżeli kiedy czuł się zadowolonym, to w tej chwili, gdy pomyślał o wdzięczności i przyjaźni, jaką mu górnicy, nazywając swoim bratem i wybawcą, okazywali.

Z głębokiej zadumy wyrwał go śpiew, dochodzący z dala, od drogi, ponad którą stały domki robotników.

To Kasia Migoń, siostra Franka górnika, wracała od studni z wodą i, przechodząc koło domku pana *szytgara*, śpiewała jego ulubioną piosnkę:

Oj! stanęć ja się tym małym ptaszkiem,
Oj! polecę nad tym gęstym laskiem.

Kasia Migoń, podobnie jak jej brat, lubiła pana *szytgara* i jego *muterkę*, bo szytgar nie wyśmiewał się, tak jak Niemcy, ze śląskiej mowy, zawsze pięknie pozdrowił, a dla siostry górnika był tak samo grzeczny, jak dla jakiej *frelki*.

Im bliżej była domku, tem głośniej nuciła piosnkę, której słowa i melodia przypominały Skalskiemu słyszane w rodzinnej wiosce pieśni.

II.

Hrabia Fryderyk O., deputowany do Rady Państwa, przebywając tylko na lato w swej rezydencyi, cały zarząd nad kopalniami i fabrykami zdał w ręce dyrektora, pana Gotlieba Stiehl. I nie pomylił się w wyborze człowieka, któremu powierzył swoje mienie. Od chwili, kiedy Stiehl zamieszkał w Augustahütte,

kopalnie podniosły się znacznie, porządek panował wszędzie, administracja była wzorową. Wszystko szło na godziny, podług skazówek olbrzymiego, na wieży umieszczonego zegara. Robotnicy, wymusztrowani jak żołnierze, spełniali rozkazy. Zarząd pamiętał o ich potrzebach o tyle, o ile reprezentowali kapitał, z którego można było czerpać niemałe korzyści. Pan Gotlieb Stiehl, dumny Berlińczyk, z pogardą spoglądał na robotnika śląskiego. W zarządzie wszyscy urzędnicy byli Niemcy, jeden tylko Skalski stanowił wyjątek. Sprowadziwszy się do Augustahütte, Stiehl chciał usunąć górnośląskich górników, lecz gdy w rezultacie zamiar ten okazał się za kosztownym i niepraktycznym, z bólem serca zarzucił swoje reformy. Obecność Skalskiego była mu również niemiłą. Bywały chwile, w których miał stanowczy zamiar oddalić chłopaka, imponującego przewagą i sympatyą u podwładnych. Lecz wzięwszy kredkę w rękę, obrachował, że Skalski niezłym jest *geszeftem*. Najpierw pracował za trzech, powtórę miał wpływ u górników. Tu, gdzie nie pomagała surowość i gburowatość dyrektora, przemawiało łagodne obejście się z nimi Skalskiego. Jeśli szło o podwyższenie godzin pracy, w czasie jakich nadzwyczajnych zapotrzebowań węgla, pan Stiehl wysyłał zawsze

z propozycją dozorcę, wiedząc, że każde jego słowo jest prędzej i łatwiej zrozumiane. Za to nienawidził go z całej duszy, podobnie jak nienawidził górnośląskiej ludności.

Ludność Augustahütte nawzajem nie lubiła pana Stiehla. Całą ich sympatyę posiadał *sztýgar* Skalski. Ujmował ich serdecznem obejściem i tem, że, choć był uczony jak fararz, nie tylko nie gardził ich mową, ale chodził na *vereiny* i na sedlik piwa, a nawet czasem to i walca w karczmie „Pod czarnym koniem“ tańcował.

W karczmie „Pod czarnym koniem“ w niedziele po nieszpórach schodzili się zawsze na piwo wszyscy górnicy i rzemieślnicy z kopalni Augusty.

Właśnie w kilka dni po zapadnięciu się stawu, ponieważ dzień był piękny, zamiast tłoczyć się w dusznej izbie, goście zajęli stoły i ławki w ogródku otaczającym karczmę rozrzucone. Mężczyźni, odświeżenie ubrani w westy, zapięte na błyszczące guziki, w kamizelach, obszytych wypustkami kolorowemi, zabawiali się wesoło. Jedni, popijając piwo, czytali gazetę niemiecką, drudzy przerzucali ostatni numer „Katolika.“ Dziewczęta i młodzież na murawie tańcowali walca. Na boku kilku

urlopników w białych kirasyerskich myckach grało w karty.

Przy jednym z największych stołów zgromadzeni górnicy ożywioną prowadzili rozmowę. W kole tem rej wodził stary Fryc Luczek, pospolicie Frycem zwany, najstarszy wiekiem oraz przewodniczący w zgromadzeniu *bergmannów* kopalni Augusty. Wysoki, barczysty, twarzy krótkiej, bez zarostu, z białym jak śnieg włosem, kiedy, siedząc przy kufelku piwa, opowiadał zgromadzonym, wszyscy słuchali go z zajęciem. Dzisiaj, podobnie jak zawsze, grono ciekawych otoczyło sympatycznego sobie górnika, który żywo gestykułując, tłumaczył coś słuchaczom.

Opowiadanie Fryca nie podobało się widocznie jednemu z urlopników.

— *Stille, heraus mit diesem polnischen Kauderwelsch!*—zawołał.

— *Stille*, kiej są ożarty — odpowiedział Franek.

Urlopnik zbliżył się do niego, zamierzając uderzyć.

— Pioruny! bo jak ja strzygnę, to obaczą!—zawołał Franek.

Lecz obydwaj rozważni, z natury nieławni do zwady Ślązacy spoglądali na siebie

z ukosa, wzajemnie oczekując zaczepki. Stary Fryc szepnął, zbliżając się do Franka:

— Nie śmiań uderzyć, bo to *königliche* wojak.

Magiczne słowo zażegnało burzę. Franek pierwszy usiadł na ławie, a urlopnik, jako zwycięzca, zaintonował:

— *Ich bin ein Preusse und kennst du meine Farben.*

Jakkolwiek spokój był przywrócony, zabawa nie odzykała już poprzedniej swobody. Ożywiło ją dopiero wejście dwóch zamożnie ubranych podróżnych, w których zdziwieni biesiadnicy poznali ślusarzy Niemców, przed kilku laty przez Stiehla za nieposłuszeństwo wypędzonych.

Nastąpiły powitania i opowiadania.

Wędrowcy, uszczęśliwieni, iż po tylu latach znaleźli się w kole dawnych znajomych, częstowali ich piwem. Kufle jeden za drugim znikały ze stołu—szczególniej starszy z przybyłych, Müller, co chwila dopominał się o bawara i chwalił pieniędzmi, pobrzękując naładowaną markami sakiewką. Opowiadał o Berlinie, o fabrykach, w których pracował ze swoim kolegą,—o płacy, jaką pobierali tam robotnicy,—wreszcie o swobodzie i prawach, wyrobionych dość częstymi *strejkami*. A wszyst-

kie te opowiadania przeplatał żartami i śmiechem. Piwo szumiało w głowach, języki rozwiązywały się, popłynęły wzajemne zwierzenia. Müller pierwszy rzucił pytanie, czy górnicy są zadowoleni z zarządu i czy im się dobrze powodzi.

Czy są zadowoleni? Na to pytanie nikt nie znalazł odpowiedzi.

Wprawdzie temu przyszła na myśl surowość dyrektora, drugiemu dość częste wytrącanie myta. Innemu znów głos wewnętrzny szepnął, że dawniej było przecież lepiej, bo przynajmniej dzieci rozumiały ojców, a w szkole to się tak uczyły, że, przyszedłszy do domu, mogły staremu zaśpiewać i nowiny przeczytać. Pomimo tego, nikt nie zdobył się na słowo, nikt Müllerowi na jego pytanie nie dał odpowiedzi. Niezrażony niepowodzeniem, począł już wyraźniej i dobitniej wygłaszać swoje zasady i zachęcać do buntu przeciw dyrektorowi. Górnicy rozważni, przyzwyczajeni do szanowania władzy, przeczuwając, do czego zmierzają namowy Müllera, odsunęli się, zostawiając go na boku. Lękając się nawet zwady z pijanym, który rzucał się i kłął na czem świat stoi, zabierali się do odejścia. Ktoś z obecnych, nie przeczuwając, jakie to następstwa za sobą pociągnie, powiedział, że hrabia,

przybyły wraz z rodziną do pałacu, zwiedza razem z dyrektorem, przy blasku ogni bengalskich, kopalnie. Posłyszawszy te słowa, Müller zerwał się jak oparzony.

— Ja im to pokażę, ja im dopiero urządzę ognie bengalskie! — wołał, wychodząc z karczmy wraz z towarzyszem.

Zaciekawieni i wystraszeni górnicy podążyli za nimi; jeden nawet z biesiadników pobiegł po policyanta. Wszyscy przeczuwali, że mściwy a pijany Müller niedobre miał zamiary.

Przy wejściu do szopy stał Skalski, oczekując powracających z podziemia. W dniu tym, pomimo niedzieli, był na służbie. Od rana czuł się słabym, prosił nawet o zwolnienie, lecz dyrektor ani słuchać o tem nie chciał. Dla uświetnienia pochodu, jaki dla hrabiego urządzał Stiehl, potrzebną była obecność dozorczy, pełniącego, jak żołnierz, wartę przy drzwiach szybu.

Z głębin dochodzące wesole śmiechy i wykrzykniki: *hoch! hoch!* drażniły Skalskiego. Zapatrzonej przed siebie, zdziwił się niemało, ujrzawszy pędzących wprost do szopy dwóch zataczających się pijaków. Za nimi zdążali górnicy, a Franek już z daleka dawał mu jakieś znaki.

Müller wraz z towarzyszem zatrzymał się przed szopą, wołając na cały głos:

— *Kameraden! schauen sie doch!* jaki ja im fajerwerk urządzę, to wszyscy na dno piekła polecą i poznają Müllera, którego tak podle wypędzili z fabryki.

Słowa te, głos ochryply i cała fizyognomia tak przeraziły na razie wszystkich, iż nikt z obecnych, straciwszy przytomność, nie miał odwagi pochwycić śmiałka. Dopiero Skalski, spostrzegłszy, iż Müller wyjmuje z kieszeni małe zawiniątko, jednym rzutem oka ogarnął grożące niebezpieczeństwo i poznał, że nędznik przygotował materyał wybuchowy, który, rzucony w głąb' ziemi, całe kopalnie wraz z ludźmi mógł wysadzić w powietrze. Poskoczył do Müllera i schwycił go za rękę.

— Łotrze! ty nie zrobisz tego! — zawołał.

— *Warum?*—pytał, chwiejąc się, nieprzytomny z pijaństwa i gniewu Müller.

— Bo ja ci nie pozwolę!—odparł Skalski, wydzierając, na szczęście, niedostatecznie przyrządzony materyał.

Lecz maleńka, oderwana bryłeczka, padając, w chwili szamotania się z pijakiem, na ziemię, wydała huk, a potem pył i dym, zasłaniający stojącego przy szybie dozorcę.

Wszystko to było dziełem jednej chwili.

Skalskiemu zrobiło się słabo — słyszał okrzyki trwogi i przerażenia, widział biegających wokoło górników, wreszcie upadł na ziemię, stracił przytomność i... i nie odzyskał jej, aż w kilka dni później, gdy, leżąc na łóżku, obudził się z ręką zdruzgotaną. Matka klęczała przy nim i wpatrywała się w twarz ukochanego syna, który, w poczuciu obowiązku, ocalając życie ludzkie, sam pozostał kaleką.

III.

Kiedy Skalski podniósł się z ciężkiej i długiej choroby, białe, delikatne tkanki pajęczyny snuły się w powietrzu, rozrzucane zimnym podmuchem zbliżającej się jesieni. Kilka miesięcy przeleżał w łóżku. W pierwszych tygodniach przeciągającej się choroby dyrektor przez kasyera przysyłał mu tygodniową pensję. Lecz z czasem wizyty te ustały i Skalski z trwogą oczekiwał jutra. Wprawdzie braku nie czuł żadnego—matka robiła co mogła, byle możliwe wygody zapewnić ukochanemu dziecku. Choć nie zwierzała się z nędzy, jaka zawisła nad ich domem, i nie skarżyła na brak pieniędzy, Zygmunt wiedział jednak, że drobne oszczędności wyczerpały się zupełnie i często

bardzo sprzęty domowe wynosiła na sprzedaż. Strwożony, zapytywał się matki, co znaczy zapomnienie dyrektora, lecz ona, pocieszając go, wymijające dawała odpowiedzi. Tylko z dniem każdym policzki jej były bledsze, a oczy zapadłe, poczerwieniałe od płaczu i nocny bezsennych, coraz smutniej na syna spoglądały.

Stary Fryc i Migoń z siostrą odwiedzali pana sztygara, pocziwa Kasia zastępowała nawet w gospodarstwie matkę, lecz Skalski zauważył, że pocziwcy ci przychodzili jakby ukradkiem i ukradkiem wysuwali się z mieszkania. Wszystko to było dla niego zagadką przykrą, bolesną, nad której rozwiązaniem daremnie się trudził i niepokoił. Postanowił co prędzej widzieć się z dyrektorem. Pewnego ranka poszedł do kantoru. W jakżeż odmienionych warunkach przechodził tę drogę dawniej! Czemże jest dzisiaj? — pomyślał wzruszony — kaleką, dla którego cała przyszłość i marzenia zamknięte, zniszczone na zawsze. Spojrzał na fabryki, na ruch, co wrzał dookoła—wszystko było na tem samem miejscu, ten sam porządek i punktualność przemawiały za sobą, robotnicy i górnicy przyjaźnie witali swego zbawcę. Wszystko było jak dawniej, tylko nad nim, kaleką, los wycisnął niezatarte piętno.

Migoń, zobaczywszy go z dala, biegł na powitanie. Z radości aż kilof, z którym szedł do naprawy, rzucił o ziemię. Zapytania jedne za drugimi płynęły z ust Ślązaka; wreszcie, oglądając się wokoło, czy kto nie nadchodzi, Franek przemówił z cicha:

— A kaj oni teraz pójdą i co zrobią?

— Jakto? gdzie pójde i co zrobię? — powtórzył pytanie Skalski, któremu przez myśl przeszła obawa, czy czasem podczas choroby dyrektor nie przyjął innego dozorca. — Jakto? co zrobię? Będę sztygarem, do tego dwóch rąk nie potrzeba — dodał z bolesnym uśmiechem.

— Ooo! to oni nic nie wiedzą, że Poloków z niemieckiej wyciupują krainy — odparł Migoń, zdziwiony, iż Skalski nie wiedział jeszcze o wiadomości, która z ust do ust obiegała. — To oni w *zeitungach* nie czytali?

— Ja nic nie wiem, dzienników w czasie choroby nie czytałem; nie rozumiem, co to znaczy.

— Co to znaczy? To taki *befehl* przyszedł z Berlina.

— Ale skąd? za co? — pytał coraz więcej zdziwiony i zatrwożony Skalski, któremu w tej chwili dopiero rozjaśniło się postępowanie i zaniedbanie dyrektora.

— Cobych jo wiedział!—odparł, wzruszając ramionami, Franek. — Na *geldtagu* mówił dyrektor, co Poloki pono chcą niszczyć naszych *wasserpolaków* i że nieporządkom radzi; ale ja myślę, co to je inny *geszeft*. Oni też mają *befehl*, ale im *muterka* nie pokazywali.

Skalski był jak piorunem rażony tym nowym, najmniej spodziewanym ciosem. Zdawało mu się, iż to jest rzeczą niemożliwą, by ludzi pracy i spokojnych, jak włóczęgów, wydano bezkarnie.

Nie wierzył słowom Franka, przypuszczał jakąś pomyłkę: nie mógł uwierzyć, by prawo to dosięgało wszystkich. Z iskrą nadziei powrócił do domu.

Z twarzy wchodzącego syna matka wyczytała, iż straszna, pozbawiająca ich chleba wiadomość była mu już nieobcą. W milczeniu wyjęła z komody rozkaz, przed kilku tygodniami przez landrata nadesłany, rozkazujący z dniem pierwszym października opuścić granice niemieckiego państwa.

Zygmunt przeczytał, położył na stole i, patrząc na matkę, przemówił z cicha:

— Cóż my teraz zrobimy, moja biedna matko?

A słowa te odbiły się smutnem echem o ubogie ściany domku i wywołały łzy w oczach pognębionej kobiety.

— Moje dziecko — odpowiedziała z płaczem, — to nie podobna, by i ciebie mieli wypędzać; mieszkamy tak dawno, tu chodziłeś do szkół; musisz tylko iść i prosić dyrektora, niechaj się wstawi do landrata.

— O to nawet prosić nie będę; z rozkazu widzę, iż obejmuje wszystkich — odparł Zygmunt, — a mnie tem więcej wypędziłby Stiehl, któremu się zdaje, iż sympatya, jaką mam u górników, podkopie panowanie Niemców na Śląsku.

— A przecie ty nie mieszasz się w żadne agitacye; cóż ty robisz, dziecko moje? Nie rozumiem, czego oni chcą od nas wszystkich.

Kantor dyrektora, do którego w godzinę po rozmowie z matką zapukał Skalski, najwymowniej charakteryzował swego pana. Od góry do dołu zarzucony księgami i papierami, ponury, poczerniały od pyłu węglowego, za całą ozdobę miał kilka starych, wypłowiałych krzeseł. Na nich świeciły rozrzucone bryły i próby węgla. Kiedy Skalski zapukał z lekka, Stiehl, sądząc, iż przychodzi ktoś z interesantów, pozwolił wejść do kantoru. Stał właśnie przed wielkim, na ścianie wiszącym planem kopalni.

Spostrzegłszy dozorcę, nie wyrzekł ani słowa, lecz pilniej jeszcze począł przypatrywać się mapie.

Skalski pierwszy przerwał przykre milczenie.

— Przychodzę dowiedzieć się, czy rozkaz wydalania i mnie dotyczy? — zapytał, przybierając o ile można spokojny ton głosu.

— *Natürlich* — odpowiedział Stiehl, nie podnosząc nawet głowy.

— Rozkaz nadszedł w czasie choroby, a matka, lękając się o moje zdrowie, nie pokazywała mi go dotąd. Może pan dyrektor będzie łaskaw wyrobić przedłużenie terminu, gdyż w tak krótkim czasie nie jestem w stanie zapewnić sobie środków utrzymania.

— A cóż mnie to obchodzić może? — rzekł Stiehl, spoglądając z ironią na Skalskiego.

W twarzy dyrektora malowała się radość i zadowolenie z nadejścia chwili, w której mógł dokuczyć wstrętnej istocie. On miałby dopomóc? — pomyślał — on, który nie tylko z Niemiec, ale z Europy całej wypędziłby nienawistne plemię? Żądanie dozorcę było zuchwalstwem w pojęciu Stiehla. On tej chwili wypędzania oczekiwał z rozkoszą i nieraz uśmiechał się na myśl, jak ów fajny paniczek, jak górnicy nazywali dozorcę, opuszczać będzie

Augustahütte. Stiehl, pan wszechwładny, w którego ręku spoczywał pieniądz i władza, za którym przemawiało prawo i siła, lękał się jednostki, połączonej z nienawistnymi Ślązakami mową i jakąś wyższą, niezrozumiałą dla pana Stiehla siłą.

— A przecież pan dyrektor powinien o mnie pamiętać. Sądzę, iż należy mi się uznanie i że na inne zasłużyłem prawa.

— Prawa? prawa? *aber das ist komisch, das ist komisch!* — powtarzał, śmiejąc się, Stiehl, a duże bakenbardy na policzkach poruszały się jakby od wiatru powiewu. — On tu będzie prawa dyktował i praw od nas żądał, włóczęga, *lump* jakiś! — dodał z gniewem.

— Proszę mi nie ubliżać! — podniósł głos Skalski.

Gdyby nie obawa o matkę, której obraz stanął mu w tej chwili przed oczyma, kaleka jedną ręką bylbym zmiażdżył niecnego człowieka, który, widząc bezsilność, nie tylko jemu, ale wszystkim wygnańcom rzucał słowa obelgi.

Rozgorączkowany, wzburzony, opuścił kantor dyrektora.

W drzwiach domu oczekiwała go matka.

— Cóż on biedny powie? — myślał, zobaczywszy ją z dala — chyba to, że za kilka-

naście dni muszą opuścić Śląsk i szukać nowego dachu i chleba.

— Powrócimy do kraju—uspokajała matka, widząc jego boleść i smutek.

A czas biegł szybko, nie przedłużając nawet godziny jednej dla tych, dla których stanowiły one kwestyę życia. Skalskiego gnębił niepokój nie o swoją przyszłość, bo ona młodemu, nawet kalece, stroi się zawsze w tęczowe barwy nadziei, — ale o matkę. Skalska, zrozpaczona chorobą syna, jego kalectwem, wreszcie wygnaniem, będącem ostatecznym dla nich ciosem, zachorowała silnie. Nie pomagały środki lekarskie, ani wielka troskliwość nieodstępującego na krok jej łóżka syna. Gaśła widocznie, odbiegały ją siły, które Zygmunt chciał własnem życiem, własną swoją krwią przywrócić. Fatalny pierwszy październik nadchodził, a zamiast polepszenia stan zdrowia pogarszał się z dniem każdym. Ani podobna było marzyć o podróży do Krakowa, dokąd Zygmunt postanowił wyjechać.

Zrozpaczony, chwycił się wszystkich środków; poszedł do landrata, lecz i tu na wszystkie prośby i przedstawienia usłyszał tylko jedną, powtarzaną przez wszystkich landratów odpowiedź: „*wir sind nicht in der Lage.*“

Już tylko dwa dni zostały biednym wygnańcom.

Rankiem przybiegł Migoń z wiadomością, że hrabia na dni kilka przyjechał do pałacu. Hrabia był osobistym przyjacielem landrata; Skalskiemu błysła ostatnia nadzieja ratunku. Pobiegł natychmiast do pałacu. Przeszło godzinę czekał na dziedzińcu, zanim służba, uważająca już eks-dozorcę za włóczęgę i wygnańca, raczyła go zameldować panu.

Hrabia czytał świeżo nadeszłe dzienniki. Od dyrektora słyszał już o chorobie Skalskiej i o staraniach Zygmunta. Pierwszy zaczął:

— Podobno chcesz pan dłużej pozostać w państwie niemieckiem, ale to jest rzeczą niemożliwą.

— A ja właśnie przychodzę błagać p. hrabiego o protekcyę do pana landrata; moja matka jest ciężko chora, nie może ze mną jechać.

— Można ją zostawić.

— Ale matka nie zniesie rozstania. Zawsze byliśmy razem... a cóż dopiero dzisiaj, gdy jest tak bardzo chora.

— Możesz pan jechać, ona i tak żyć nie będzie.

Skalskiemu krew zastygła w żyłach na te słowa. Takiej odpowiedzi nie spodziewał się od człowieka, któremu uratował życie i mienie.

Hrabia z podziwieniem spoglądał na trupią bladość Zygmunta; nie rozumiał tej niemej rozpacz, jaka malowała się na twarzy biedaka. Czemże on był? Maszyną, robotnikiem — to nie człowiek, nie żyjąca istota, ale martwa bryła, odłamek pnia, który on już dawno za umarły i spróchniały uważał. Wiedział, że swoim wpływem mógł przywrócić Skalskiemu spokój, a może nawet i życie matki. Lecz cóż go to obchodziło? Uczucia wdzięczności nie czuł dla niego.

— Panie hrabio — przemówił raz jeszcze Skalski, — w imię tego, co zrobiłem dla pana hrabiego, błagam o litość dla chorej matki.

Na te słowa hrabia wyprostował się dumnie, zmierzył od stóp do głowy Zygmunta i zimnym, przeszywającym głosem przemówił:

— Dość tego! Jeśliś sądził, żeś popełnił bohaterstwo, ocalając mi życie, to wiedz o tem także, iż w przeciwnym razie ja, graf von O., ani chwili nie rozmawiałbym z tobą, głupsze, lecz za drzwi wyrzucićbym kazał—dodał, odchodząc i zostawiając ogłuszonego i rozpaczonego Zygmunta.

Trzydziestego września, przed samym wieczorem, do mieszkania Skalskich wszedł żandarm i policyant miejscowy.

Na łóżku leżała chora; od kilku dni straciła przytomność, nie poznawała syna, który klęczał, zapatrzony w gasnące jej oczy.

Kiedy żandarmi weszli do pokoju, chora na chwilę odzyskała przytomność. Poznawszy obecnych, z trwogą schwyciła syna za rękę. Zygmunt z płaczem rzucił się w jej objęcia.

— Jedź, Zygmusiū, jedź! jedź, dziecko drogie... mnie lepiej... za kilka dni przyjadę... możesz być o mnie spokojnym — mówiła urywanym głosem, żegnając go i błogosławiąc na drogę.

— Niech jadą, ja tu o *muterce* będę pamiętać — powiedziała Kasia Migoń, przyszedłszy wraz z bratem pożegnać paniczka.

— Jo, jo, niech jadą—dodał Franek, ocierając łzy rękawem, — ja im *muterkę* odwiezę, kiej będą zdrowi.

Przemocą Zygmunta oderwano od łóżka matki, z którą chciał zostać na wieki, choćby węzłami śmierci połączony. Ale śmierć nie przyszła na zawołanie i żandarm zmusił Zygmunta do pośpiechu. Ostatni pociąg, idący w stronę Austrii, wychodził wieczorem, a on miał rozkaz jeszcze tego samego dnia odwieźć wygnańca do granicy.

W kilka dni po wyjeździe Skalskiego, zamiast do Krakowa, do syna, pocziwy Franek

Migoń wspólnie z Frycem i innymi górnikami odprowadził mu matkę na wieczny spoczynek.

W pogrzebie, przejęta współczuciem, wzięła udział cała górnicza drużyna, która pana sztygara ceniła i lubiła bardzo.

Po rozejściu się tłumów, gdy ostatnia grudka ziemi padła na trumnę, przystrojoną przez Kasię kwiatami, Fryc i Franek stali jeszcze długo nad świeżą mogiłą, w głębokiej pogrążeni zadumie.

— Frycu!—przerwał milczenie Franek — szkoda ich... oni byli radzi nam, swarni do roboty i nie oszydzali nikogo. Złe nastały czasy.

— Złe—powtórzył Fryc,—ale muszą słuchać, bo to *königliche befehl*.

TATRZAŃSKI PRZEWODNIK.

Gwarno było i wesoło w schronisku przy Czarnym Stawie, pod Kościelcem; nadciągająca burza zgromadziła powracających z wycieczek taterników. Stary Gąsiennica od dawna tak licznych w swoim szałasie nie podejmował gości. Częstoowano się wzajemnie; przewodnicy w wir ogólnej rozmowy dorzucali swoje uwagi i żarty, i chwilami śmiechem głośnym, jak spadek Siklawy, głuszyli wycie szalejącego na szczytach wichru. Jeden tylko z nich, Jontek, siedział na uboczu i, wlepiwszy oczy w płonący ogień, nie podzielał ogólnej wrzawy i wesołości. Nikt na niego nie zwracał uwagi; przewodnicy znali usposobienie Jontka — wiedzieli, że ani śmiać się, ani rozmawiać nie lubił z nikim. Z pierwszym uderzeniem piorunu zadrżały ściany schroniska. Kolumny deszczu uderzały z łoskotem w czarną powierzch-

nię Stawu. O nagie szczyty skał rozrywały się gnane wichrem chmury i, jak kozice, przełatywały z jednej turni na drugą. Mijały Granaty, Krzyżne, Koszystą, aby w wędrowce swej rozbić się w końcu o krużganki lodowych szczytów. Od Zawratu huczały fale spienionych potoków, rozlegał się trzask i łomot upadających drzew. Zdawało się, iż wszystkie granitowe złomy, torujące podróżnym dobrze znany szlak do Morskiego Oka, zapadły w otchłań bezdenną.

Burza nie trwożyła zgromadzonych w schronisku. Rozhukane żywioły potęgowały dziką piękność przyrody. W milczeniu spoglądali wszyscy na pełen grozy i majestatu obraz. Przewodnicy zabawiali się na swój sposób, zmiatając ze stołu przyniesione z sobą zapasy żywności.

— Patrz! — szepnął jeden z panów do swego towarzysza — co to za grube natury ci górale zakopańscy. Nic ich nie wzruszy, żadnego pocucia piękna, obojętni na wszystkie zjawiska natury, zimni jak otaczające ich głązy.

— Co chcesz! Konia z rzędem temu, kto wykrzesze iskrę poezji w piersi naszego chłopca. Komunały wszystko, co na ten temat piszą i mówią — odparł zaczepiony, lornetując zawzięcie niknące w chmurach turnie.

— Już po naramnicy ¹⁾ — wtrącił jeden z przewodników, Roy.

— Bo to nie widzisz, że deszcz zaczyna padać, a dymy ²⁾ spuszcza ją się na dół? Ani myśleć o powrocie — zawyrokował drugi, Józek Pęksa:—do rana muszą czekać.

— *Bravo!* zostaniemy. Pęksa zaśpiewa nam i zatańczy góralskiego — odezwało się naraż kilka głosów.

— Panowie!—zawołał ów taternik, odmawiający góralom pocucia piękna — ja muszę wracać na dzisiejszy „réunion.“ Zamówilem damy; bądź-co-bądź, muszę być w Zakopanem.

— Aaa! parolista! zawstydz nas swoją słownością, trubadur! średniowieczny rycerz! śpieszy po uśmiech wybranej—żartowali towarzysze, otaczając kołem pana Karola.

— Dymy co cud; jeszcze się zabiją — ostrzegał jeden z górali.

— Lepiej niech zostaną, jutro rano pójdą wszyscy razem—doradzał drugi.

— To ja ich odprowadzę — wmieszał się do rozmowy milczący dotąd Jontek.

— Haj! z Jontkiem mogą iść na Lodowe Wierchy.

¹⁾ Burza.

²⁾ Mgły.

M. Parczewska.—Obrazki.

— A no, to niech idą—przemówił powtórnie Jontek, spoglądając ponuro na obecnych.

— Do widzenia! do jutra! bohater, trubadur!—powtarzali panowie, żegnając p. Karola.

Bohater, otulony pledami, z tryumfalną miną opuścił wraz z Jontkiem schronisko.

Aż do gąsiennicowych szalaśców przewodnik uparcie milczał, a zapytywany kilkakrotnie, żadnej nie dawał odpowiedzi. Pan Karol, przyzwyczajony do wesołości górali, niemile był dotknięty usposobieniem Jontka. Podnosiło ono ujemne wrażenia przykrej i męczącej drogi. Z każdą chwilą stawała się ona uciążliwszą, wprost niemożliwą do przebycia. Mgła opadała na ziemię, w morzu jej tonęły okoliczne szczyty. Wytworzone przez deszcz potoki szumiały głucho. Nogi, zesuając się z obślizłych kamieni, grzęzły w błocie; nawet z pomocą siekierki trudno było utrzymać równowagę.

— Niech się nie boją, niech idą za mną wartko — były to pierwsze słowa, jakie usłyszał pan Karol z ust Jontka.

— Z takim, jak wy, przewodnikiem i na Lodowe gotów jestem iść Wierchy—odpowiedział, przystanawszy na chwilę.

— Oni nie pierwszy raz w Tatrach? — zapytał góral, opierając się o złom granitu.

— Przed kilkunastu laty byłem w Zakopanem—odparł pan Karol, zadowolony, iż nareszcie rozwiązał się język przewodnikowi.

— Przed dwunastu laty byli pierwszy raz, prawda?—rzucił znów pytanie góral.

— Doskonałą macie pamięć, gdyż ja was sobie nie przypominam wcale.

— Ale ja ich nie zapomnę nigdy; czekałem na nich, jak na zmiłowanie Boże, czekałem... i na koniec przyjechali.

Pan Karol sądził, iż jakim hojnym datkiem zaskarbił sobie pamięć górala.

— Pewnie chodziliście ze mną na wycieczki?

Jontek pograżył się znów w milczeniu.

Mgła opadała coraz niżej. Białe jej zawoje coraz ciaśniejszym węzłem otaczały obu idących. Na odległość kilku kroków nic nie można było widzieć przed sobą. W ciemnej przestrzeni błyszczały tylko czarne, ogniem świecące oczy górala.

— A Jagniasię, córkę starej Reiny, pamiętają?—zaczepił Jontek.

Pan Karol rozśmiał się w duszy na to pytanie; myślą przebiegał wspomnienia pierwszego pobytu w Tatrach, lecz ani Reiny, ani Jagniasi nie mógł sobie przypomnieć.

— Nie pamiętają! A ja myślałem, że oni jej nigdy nie zapomną—przemówił z bolesnym wyrzutem Jontek.—Dziś nie pamiętają Jagnias, ani Hali Królowej, a przed dwunastu laty pamiętali co dzień z kolegami chodzić do szałas, bo tam żętycę podawała co cud Jagna. Oni nie pamiętają, ale ja ich pamiętam dobrze.

W miarę, jak mówił, głos mu rósł, potężniał i drżał od wzruszenia. Ostatnie słowa górala przypomniały panu Karolowi pierwszy pobyt w Zakopanem i wycieczki, które jako słuchacz Politechniki odbywał wspólnie z kolegami. Kilkanaście dni pobytu w Tatrach, w gronie wesołych towarzyszy, przeszło jak jedna chwila. Szalas na Królowej Hali stanął mu przed oczyma i wywołał w pamięci ładną góralkę, do której wszyscy uśmiechali się wdzięcznie, a on za żętycę płacił w dodatku uściskami. W żartach nazywał ją „królową hali,“ ale gdy raz wyjechał z Zakopanego, zapomniał już i o istnieniu Jagny.

Wymówki Jontka rozgniewały pana Karola.

— Co chcesz?—zapytał wyniośle, mierząc wzgardliwem spojrzeniem górala.

— Nic nie chcę — zasyczał Jontek.

Guńka ciążyła mu na plecach, jednym ruchem rzucił ją o ziemię.

— Cóż to? Chcesz mnie zabić? Coś ty za jeden?

— Oni zabili Jagniasię, teraz ja ich chcę zabić. To oni nie wiedzą, że ona była moja?... że gdy ja z panami drapał się na wierchy, oni zachodzili na hale, śmiali się i żartowali z głupiej dziewczyny, a po ich odejściu to już ani patrzeć na mnie nie chciała? Czarne oczy i gładkie słowa zabiły góralską dziewczkę; porzuciła matkę, mnie, całą chudobę, góry nasze i poszła na węgierską stronę, uciekła z żalu za nimi. Ona była moja *frairka*, a oni mi ją zabrali. No! teraz to już wiedzą, kto ja jestem—dokończył, zaciskając pięści.

Pan Karol w milczeniu słuchał skargi górala. Pałący wzrok Jontka przeszywał go do głębi; parolista taternik czuł gorący oddech jego piersi. Nienawiść i zemsta malowały się w suchej, przedwcześnie zwiędłej twarzy; zęby białe, lśniące, szczękały jak w febrze.

— Ja ich zabiję, w przepaść rzucę, jak orlę rozbiję o turnie... i nikt, nikt nie będzie wiedział — mówił, podnosząc w górę toporek.

Pan Karol nie był tchórzem; wyzwany do walki, śmiało, na otwartem polu, stawiłby przeciwnikowi czoło, lecz widok przejętego zemstą człowieka zachwiał jego odwagę. Mgła ciemna, wytwarzająca w przestworze jakby noc

istopadową, tamowała mu oddech w pierśsiach i mroziła go do kości. Nie myślał już o obronie, lecz bezsilny, złamany, oczekiwał końca.

Jontek napawał się widokiem swojej ofiary. Długo tłumiona bolesć wybuchnęła z całą gwałtownością, podniecając w nim żar dzikiej namiętności. Mary wszystkich zabitych, pogrzebanych snów młodości stanęły mu przed oczyma i popychały go do zbrodni. On tak gorąco pragnął, tak oczekiwał chwili, w której oko w oko spotka się ze swoim wrogiem! On musi go zabić, musi wziąć z niego odwet za ciężką krzywdę, jakiej od niego doznał.

Gdy z wiosną goście zjeżdżali do Zakopanego, on nie cieszył się, jak inni, nadzieją zysku, lecz cichy, milczący, chodził z wycieczki na wycieczkę, zaglądał wszystkim podróżnym w oczy, ręce zaciskał z bólu, złorzeczył panom, zwiedzającym ukochane wierchy, i, trawiony gorączką zemsty, oczekiwał nadejścia upragnionej godziny. Nakoniec! spełnione życzenia—straszny wróg sam oddał mu się w ręce, miał go w swojej mocy. Tu, na tem miejscu, gdzie niegdyś Jagna gonila owce, on go zabije, rzuci w przepaść i nikt o tem nie będzie wiedział. Milczące turnie nie zdradzą tajemnicy. Noc ciemna i mglista zakryje zbrodnię, a huk poto-

ków i wichru zagłuszy jęki strąconej w przepaść ofiary.

— Tak, ja ich zabiję!—wołał przeciągłym głosem Jontek.

Pan Karol zadrżał, bezsilny, potoczył się kilka kroków; góral schwycił go z wściekłością — muskularna dłoń wpiła się w delikatne ramię przeciwnika; już tylko jeden krok, a śmierć znajdzie w otchłani. Jontek spojrział przed siebie... i w tej chwili z głuchym jękiem opuścił ręce.

Z poza Granatów wychylał się blady krąg księżyca, oświecając z lekka misterne załomy niebotycznych turni. Gdzieniegdzie, jak gwiazdy, lśniły na nich płaty śniegu. Ciemna, ponura mgła rozwijała się w nieskończoność, w zamian coraz widoczniej rysowała się na tle nieba gotycka wieżyca Kościelca i, jak ruiny średniowiecznego zamku, sterczące baszty Świnnicy.

Jontkowi na widok wierchów, oblanych światłem księżyca, jaśniej zrobiło się w duszy. Gwiazdy spoglądały nań tak słodko! Jak pajęczyzna lekkie obłoczki przelatywały po niebie, czepiały się turni i wyrywały mu z piersi straszny zamiar zbrodni. Czuł się znów młodym, szczęśliwym, jak wówczas, gdy na Liliową biegał dla Jagniasi po kwiaty. Śmiały się

do niego hale, turnie i ciemne w oddali regle— zemsta i złość przestały mu szumieć w głowie. Jasność gór nęciła go, przyzywała do siebie. Gotów był paść na kolana i modlić się, jak do świętych, których obrazy stanęły mu w tej chwili przed oczyma. Nie! on już nie zabije! Zbójnik czyż mógłby spoglądać na góry tak spokojnie, a turnie—toć całe jego szczęście, całe życie, Jagniasia druga na ziemi.

— Nie! ja już ich nie zabiję; to grzech, hańba — przemówił złamanym głosem.—Niech idą za mną—dodał po chwili.

Księżyc wzbijał się ponad szczyty; w świetle jego nabierały życia martwe głązy i urwiska. Jontek, milczący jak zawsze, torował panu Karolowi drogę. Siekierką usuwał kamienie z pod nóg, odrzucał postręcane przez nawałnicę gałęzie, w trudniejszych przejściach podtrzymywał go silnie i własną od zimna zasłaniał gunią. Minęli Skupniowy Upłaz, pokryty drzewami Boczań, spienione pod Kuźnicami wody—i gdy stanęli przed Tatrzańskim Dworcem w Zakopanem, księżyc, ujęty jak w kłamrę szczytami Giewontu, oświecał u stóp rozrzucone domy. Pan Karol z rozrzewnieniem ścisnął na pożegnanie dłoń przewodnika.

— Niech nie dziękuje — szepnął z cicha Jontek i smutny powędrował do sierocej na Kasprusiach chaty.

W schronisku przy Czarnym Stawie, pod Kościelcem, długo bardzo rozmawiano o prozaiczności wiejskiego ludu.

NAD MORZEM.

„Sunt lacrimae rerum.“

Spokojny zazwyczaj Bałtyk huczał wzburzoną falą. Kłęby morskiej piany uderzały z łoskotem o ławy i wydmy piaszczystych wybrzeży. Wicher, przeszedłszy całą gamę tonów—od cichych miłosnych szeptów do wrzących szaleńskich wybuchów,—straszliwe wyprawiał harce. Przeciągłym jego świstem strwożone mewy z krzykiem zrywały się do lotu. Wśród cieniów nocy, lśniące, skropione perłami wody, jak błędne ogniki przesuwwały się i końcami rozpacznie otwartych skrzydeł muskały mętłą, czarną powierzchnię morza. Skłócone z sobą bałwany wznosiły się, pochłaniały wzajemnie, to znów opadały, aby po chwili z tem większą uderzyć gwałtownością. Piętrząc się w górze, uderzały o ciemny, ponury pas nieba, co na dalekim horyzoncie, połączony z mo-

rzem, zdawał się tonąć w jego zimnych, lodowatych głębinach.

W górnych sferach złowrogi zapanował spokój. Srebrne kręgi księżyca i gwiazd drżących miryady, przeczuwając zmiany w królestwie swego panowania, schroniły się poza mgły szeregi. Świat niebieski w uśpieniu spoglądał na kipiącą po brzegi czarę morza. Zdawało się, iż wszystkie planety, wykolejone z orbit, zaprzestały odwiecznej swej wędrówki.

Grobowy spokój nieba przerwały nagle dziwne, pełne niewytłómaczonych tajemnic i znaków szelesty. Ustępowała senność chmur. Znudzone głęboką ciszą obłoki szeptały między sobą. Fale ich porozumiewały się z falami wody, spiskowały potajemnie. Wściekły podmuch wiatru za jednym dotknięciem zerwał z nich żałobną zasłonę. Błyskawica, sygnalizując pierwszy atak, przeszła niebo; piorun za piorunem wstrząsał kłębami piany morskiej. Odgłosy gromów szły o lepsze z ponurym rykiem fali; co chwila otwierały się podwoje niebios, a morze, szarpiąc własne łono, wilo się w konwulsyjnych skokach.

Na walkę rozpasanych żywiołów spoglądała garstka stojących na wybrzeżu rybaków. Przyzwyczajeni do kaprysów atmosfery i morza, okiem krytyka obserwowali odgrywającą

się wśród wód i chmur tragedję. Przeczuwając ją, przyśpieszali powrót: przed zachodem słońca wszystkie łodzie przybiły do brzegu. Chaty, poruszane wichrem, drżały jak w paroksyzmie febry. Cała ludność małej rybackiej wsi Rewy wybiegła na brzeg morza, tylko dzieci i starzy pozostali w domach. Przy świetle błyskawic dostrzeżono kołyszące się na falach strzaskane ściany statku.

— To statek kupiecki tonie... ten sam prawdopodobnie, który przed dwiema godzinami wypłynął na pełne morze... — zawołał jeden z rybaków, Justus Schimank, w *plattdeutsch*, powszechnie w tej części Pomorza używanem narzeczu.

Statek płynął od Stolpmünde na północ ku Szwecyi; nieprzyjazny wicher pchnął go w przeciwną stronę, ku znanym z niebezpieczeństwa wybrzeżom Rewy. Światło krzyżujących się błyskawic ukazało oderwany tułów statku: sterczał, cały w strzępach; bałwany z siłą przelatywały przez niego; jak trzcina, kołysał się na wszystkie strony. Gdy wicher przycichł, w powietrzu rozległy się rozpaczliwe jęki tonących. Latarnia morska za słabe rzuciła światło. Wzdłuż pobrzeża rozpalono ognie. Buchnął ku niebiosom słup gorących płomieni. Czarne odłamy statku zarysowały

się widoczniej, ujrzano załamane dłonie rozbitków.

Takiej szalonej od dawna nie pamiętano burzy. Mieszkańcy Rewy często śpieszyli z pomocą tonącym, lecz dziś obawiali się wyruszyć na pełne morze. Tylko Justus Schimank nie stracił odwagi. Za uratowanie życia rozbitkom otrzymał przed kilku laty tysiąc marek nagrody. Chwilę tę miał zawsze w pamięci. Bez wahania odczepił pierwszą o brzeg opartą łódkę. Obecni spojrzeli na siebie, nikt jednak nie śmiał czynić mu uwagi; wiedzieli, że drwił zawsze z cudzych przestroąg. Tylko młode dziewczę, jedyna jego córka, Herta, przemówiła z płaczem:

— *Wadder! Wadder!* proszę cię, nie jedź dzisiaj... morze tak się bałwani!

Justus nie spojrział nawet na córkę—i zanim dziewczyna powtórzyć mogła prośbę, silną dłonią kierowane wiosła odbiły łódź od brzegu.

— O, Boże! Boże! Jezu! Jezu! — wołały strwożone kobiety. Rybacy przyrzędy ratunkowe wrzucali do łodzi.

Kołysana bałwanami, poruszała się szybko; wicher w dzikich podskokach unosił ją w górę. Burza dochodziła do szczytu swej potęgi. Cała ściana fantazyjnie ugrupowanych obłoków, jak olbrzymia lawina śniegu,

poruszyła się z posad. Gnana wichrem, szalała po niebie. Zdawało się, iż pękły wszystkie arterye ciał niebieskich i powodzią błyskawic rozjaśniły czarną otchłań wody. Pioruny, jak burza gorących oklasków, posypały się na morze, wstrząsając walczącą z bałwanami łódką. Justus nie słyszał zgrzytu i szumu fal; oczy jego, utkwione w jeden punkt, nie widziały uchylających się za każdym podmuchem wiatru piekielnych, czeluści morza. Nagle... drgnął. Jedna część statku wraz z podróżnymi zginęła mu z przed oczu, zsunęła się w bezdroża Bałtyku. Poniesione trudy i niebezpieczeństwa były daremne. Ciemności otoczyły go dokoła, urągały jego odwadze. Ostatnia błyskawica na pożegnanie rozdarła niebo. Przy jej świetle Justus dostrzegł zawieszoną na drugiej połowie statku jakąś ludzką istotę. Podpłynął ku niej; z niezwykłą odwagą, lewą ręką trzymając się wiosła, prawą zarzucił linę na chwiejące się ściany. Nawoływał rozbitka, lecz ten leżał nieruchomy. Stado strwożonych mew rozpostarło nad nim swoje skrzydła. Justusowi brakło oddechu w piersiach, stanął na łodzi i wspiał się na palce, trzymając się rękoma statku. Muskularne jego dłonie opadały za dotknięciem obślizłych kończyn. Jedna chwila stanowiła o losie obydwóch; schwycił omdla-

łe ciało rozbitka i z nadludzkim wysiłkiem rzucił je w głąb' łodzi.

Odetchnął. Raz jeszcze zahuczały fale, zaryły się głębiej balwany wody, zimne jej krople ochłodziły rozpalone dłonie i czoło rybaka—potrzebował spoczynku.

Wyczerpana długą walką, burza omdlewała; pulsa jej uderzały z wolna; fala konającym już tylko szeptała głosem. Harmonia powracała w krainę rozhukanych żywiołów. Wyzwolone z kajdan nawałnicy, nowem oddychały życiem. Księżyc z poza chmur świetlane wychylał koło—i gdy Justus wraz z swoją zdobyczą powrócił na brzeg morza, gniewny przed chwilą Bałtyk kołysał się spokojnie, miarowo, jak łany pszenicznych kłosów, co z dala, na wschód od Rewy, złościły się na polach kaszubskiej ziemi.

Ocalony przez Justusa młody podróżny znalazł przytułek w jego domu. Kim był i dokąd płynął, na razie nie można się było dowiedzieć, gdyż był nieprzytomny. Pieniędzy i papierów przy nim nie znaleziono żadnych.

Justusa gniewała niepewność, komu ocalił życie. W pierwszej chwili, gdy, po złożeniu na wybrzeżu, jedni otoczyli rozbitka z ciekawości, drudzy, aby nieść mu pomoc, Justus zbliżył się do stojącej z boku córki.

— *Du! Herta!* głupstwo się stało... nie nam z niego nie przyjdzie; trzeba go oddać do szpitala... Jeszcze gotów umrzeć. Kto go tam wie, co on za jeden...

— Co on za jeden? *Wadder!* ja tobie powiem, kto on jest: oto bardzo nieszczęśliwy i bardzo piękny młody człowiek.

— No, no, Herta!—śmiał się Justus.

— A może to jaki *graf*? może jaki *lejtnant*? Tak, tak, *Wadder*. Weźmy go do siebie; to nie zwyczajny człowiek. Patrz tylko, jaki on piękny! — mówiła, spoglądając z zajęciem na rozbitka, którego pulsa badał sprowadzony na wybrzeże felczer wojskowy.

Justus inne miał w tym względzie zdanie. Podróżny był dla niego o tyle piękny, o ile przedstawiał materyalne korzyści; w przeciwnym razie był zawadą, niepotrzebnym sprzętem, którego nie myślał zabierać z sobą.

Justus Schimank był najbogatszym z całej wsi rybakiem. Dom jego murowany wyróżniał się wśród innych chat rybackich. Urządzony starannie, świadczył o zamożności mieszkańców.

Justus, skąpy, oszczędny, dla jedynaczki Herty nie żałował nigdy pieniędzy. Gdy skończyła szkółkę elementarną w Rewie, oddał ją jeszcze do wyższej szkoły w Stolpmünde. To jednak nie przeszkadzało, że, wróciwszy do domu,

zwyczajem innych rybaczek, Herta prała, gotowała, a w długie zimowe wieczory naprawiała podarte sieci. Ojciec jej był powagą rybackiej drużyny, nie tylko w Rewie, ale i na całym pobrzeżu, począwszy od portu stolpmündzkiego, aż do brzegów rigenwaldzkich. I dalej nawet, na Rugii, znaną była sława Justusa jako rybaka.

Zwycięzca z pod Gravelotte, człowiek, któremu sam feldmarszałek Moltke przypiął krzyż zasługi, imponował odwagą, bogactwem i rozumem. Przed wojną był on tylko sprytnym i zręcznym rybakiem, jak na swój stan dość nawet inteligentnym, któremu morze i połów ryb wypełniały życie. Nowe cesarstwo obudziło w nim uczucie narodowe. Berlin, skąpany w chwale zwycięstw, olśniewał go. Z chwilą zwycięstwa Justus przerobił się w patryotę-żołnierza, polityka, dla którego poza cesarstwem świat przestał nawet istnieć. Gdy kanclerz przyjeżdżał do Warcina, on na czele deputacyi rybaków witał go w letniej rezydencyi, urządził dalekie na morze wyprawy, kierował w Rewie wyborami, słowem był duszą wszystkich rybaków. Szorstki, gwałtowny, ulegał jedynie wpływowi swej jedy-naczki Herty. Gdyby też nie ona, której zle-

cenia spełniał zawsze z ochotą, rozbitek byłby pomieszczony w szpitalu.

Za jej interwencją przeniesiono go do murowanego domu rybaka. Justus, uspokojony zapewnieniem felczera, iż rozbitek może przyjść do siebie, a długie omdlenie jest tylko wynikiem zmęczenia i przebytych wrażeń, pozwolił złożyć go na sofie w pokoju matki. *Frau Schimank*, jak wszyscy nazywali matkę Justusa, była najstarszym mieszkańcem Rewy. Od dwudziestu lat sparaliżowana na nogi, nie opuszczała nigdy pokoju i okna, z którego daleki na morze rozlegał się widok. Dawne, bardzo dawne pamiętała czasy: przeszło dziewięćdziesiąt kilka lat liczyli jej wszyscy. We wsi szanowano ją powszechnie; poza jej granice nie wydalala się nigdy, nawet wówczas, gdy młodą i zdrową była jeszcze. Stara Schimankowa przeżyła wiele zmian i nieszczęść. Burze życia nie oszczędzały jej. Ośmioletnie dziecko, patrzyła już na straszną śmierć ojca, którego spieniony Bałtyk pochłoniął w swoich falach.

W kilka tygodni później straciła matkę; młodą jeszcze była, gdy pogrzebała męża, kilkoro dzieci, na koniec synową i wnuczęta. Cały świat dla niej był już tylko mogiłą. Przebyte cierpienia, straty, a w końcu i kalectwo, osłabiły jej władze umysłowe. Serce przestało od-

czuwać łyzy i uśmiechy ludzkie. Z obojętnością spoglądała na toczącą się dokoła walkę. Rzeczywistość jak mgła rozwiała się przed jej oczyma. Siedząc w fotelu, bezmyślnie zawsze odpowiadała na zadawane sobie pytania. W chwili, gdy chorego wniesli do pokoju, drzemała, jak zwykle; nie zwróciła nawet uwagi na zamieszanie, wywołane pojawieniem się rozbitka.

Gdy złożono go na sofie i otulono stosem kołder i poduszek, Herta za ojcem wsunęła się do pokoju.

— Ty, *Wadder*, pewnie jesteś zmęczony— przymilała się dziewczyna, —a ja chciałam cię prosić, abys do rana posiedział przy chorym. Może czego potrzebować, może zawoła, przebudzi się.

Ojciec pogroził jej z uśmiechem.

— A może to jaki włóczęga?

— Ależ, *Wadder!* to pewnie jaki wielki pan, może lord angielski.

— No! no! *liebchen!* pan, czy włóczęga, kiedy ty chcesz, to już stary *Wadder* będzie go pilnował.

Herta w *Buch für alle* czytała powieść, której bohater, bogaty magnat angielski, uratowany przez rybaka, ożenił się z jego piękną córką. Przez asocjacyę myśli fantazyja mło-

dej, wrażliwej a rozmarzonej świeżą przygodą dziewczyny czarowne na ten temat snuła obrazy. Znalazłszy się w swoim pokoiku, nawet na chwilę nie mogła zasnąć, z niecierpliwością oczekiwała ranka. Z pierwszym braskiem słońca, śpiesznie przyrządziwszy ojcu śniadanie, z filiżanką kawy zapukała do pokoju babki. Wszedłszy na wezwanie, spojrzała na chorego; zdawało jej się, że drgnął, że spieczone gorączką usta poruszały się z wolna. Pobladła. Ojciec chciał przemówić—ruchem ręki dała znak, aby milczał. Widząc, z jaką uwagą Herta wpatruje się w chorego, miał szczerą chęć wyrzucić go za drzwi; lecz ta blada, nieruchoma postać dziwnym przejmowała go strachem—nie śmiał wyrzucić jej krzywdy. Coraz głębsza cisza zapadała w mieszkaniu. Zdawało się, że od morza dobiegał szmer podwodnych roślin. Chory poruszył się, a usta, szczelnie dotąd przymknięte pieczęcią niemości, szeptały z cicha:

— Boże! Boże!

Z piersi Herty wydarł się stłumiony okrzyk. Justus stanął przy chorym.

— *Wadder!* co on mówi? co on powiedział?—pytała, topiąc przenikliwe w ojcu spojrzenie.

— Boże! Boże! Matko! — powtarzał urywanym głosem młodzieniec.

Słowa jego, wymawiane po polsku, niezrozumiałe dla obecnych, odbijały się pustem echem o ściany domu.

Fale Bałtyku zajęczały głośniejsze, powiew wiatru, co z dala, od żuław nadwiślańskich, wpływał przez otwarte okna, zbudził starą Schimankowę.

— Ojczy! Czy ty rozumiesz, co on mówi? Może on umiera? Jeśli on umrze, Herta twoja zmartwi się bardzo! — zarzucała ojca pytaniami dziewczyna.

— *Du, Herta!* Nie martw się; poczekaj, ja go się zapytam; ja już zrozumieć, co on mówi, tylko ty nie płacz — uspokajał ją i głaskał po twarzy.

On w tej chwili gotów był nawet zrobić jaką ofiarę, byle tylko zrozumieć choć jeden wyraz, mogący uspokoić Hertę.

Chory po długim omdleniu z wolna odzyskiwał przytomność, lecz w osłabionym jego umyśle przesuwwały się jeszcze straszne przeżyć cierpień obrazy. Cała groza burzy stanęła mu przed oczyma. Podnosząc w górę ręce, odpychał otaczające go zdradziecką siecią bałwany morskie, wzywał pomocy nieba, matki, żegnał rodzinną ziemię, w końcu, jakby wyczer-

pany walką, spokojny wobec majestatu śmierci, począł odmawiać pacierz.

Każde jego słowo budziło z moralnego uśpienia starą Schimankową. Po twarzy poranej zmarszczkami, pergaminowo żółtej, dziwne przebiegały błyski. Oczy bezmyślne nabierały życia, odbijało się w nich światło, tlejące w ukrytych głębinach duszy. Umysł, zamroczony pyłem wieku, nabierał giętkości, rozszerzały się skurczone nerwy. Mgła, przyćmiewająca pamięć, roztopiała się pod wpływem promieni, które, jak prąd ożywczych iskier, napływały do jej serca i mózgu. Stara, pomarszczona Schimankowa odżyła; na twarz występowały rumieńce; jakaś niewidzialna dłoń, jakaś niezrozumiała dla niej potęga unosiła ją z miejsca, powracając dawno utraconą młodość i zdrowie. Zerwała się z krzesła, wyciągnęła dłonie i wspólnie z chorym poczęła odmawiać pacierz.

Justus oniemiał z przerażenia. Atletyczna jego postawa, kształtami przypominająca rasę perszeronów, drżała, jak drobne listki kwiatu. Patrzał na matkę, ale nie wiedział, czy stojąca przy chorym kobieta jest rzeczywiście jego sparaliżowana, bezwładna matka. Stracił świadomość swojej osoby, czuł tylko, iż stało się coś nadzwyczajnego, co przewrót wywołało

w umyśle matki. Zdawało mu się, że do Her-ty podchodzą czarne, złowrogie postacie i zabierają jego jedyne, ukochane dziecko, że o śmierć lub życie rozpoczynają z nim walkę. Podniósł obie ręce, jakby za jednym uderzeniem zabić chciał człowieka, który swoim przybyciem takie zmiany wywołał w spokojnem dotąd ich życiu.

Stara Schimankowa spojrzała na syna, a gdy ich oczy zbiegły się razem, Justusowi opadły ręce. Wzrok matki przykuł go na miejscu. Takiego wyrazu nigdy jeszcze nie widział w jej twarzy.

— Justus! Ty, Justus! Nie śmiej zrobić mu krzywdy! Jego mowa to jakby ojców moich mowa. Tam, na morzu, gdy ojciec to-
nął, matka taki sam pacierz mówiła ze mną. Justus, tyś tego nie słyszał, nie widział... Dziewięćdziesiąt lat takiego nie słyszałam pacierza... dziewięćdziesiąt lat, a może i więcej... dziewięćdziesiąt... dziewięćdziesiąt—powtarza-
ła Schimankowa, wywołując słowami swemi osłupienie Justusa.

Coś niezemskiego było z jej twarzy. Dro-
bna, wątła, potęgą ducha górowała nad olbrzy-
mią postawą syna.

— Kto on jest? Bóg, szatan, czy człowiek? — zadawał sobie pytanie Justus, tuląc drżącą z przerażenia córkę.

Rozbitek odzyskiwał przytomność; siła młodości powracała mu ją szybko. Przypominał sobie doznane przejścia; pacierz, powtarzany nad nim przez starą Schimankową, zwrócił jego uwagę; zadał kilka pytań Justusowi, lecz ten uparcie milczał. Herta w urywanych słowach wyręczyła ojca.

— Kto ty jesteś? — zapytał Justus, podchodząc do rozbitka.

— Polak—brzmiała odpowiedź.

— *Polake! Polake!* — krzyknął przeszywającym głosem rybak.—Kto ty jesteś? — niepewny, czy dobrze zrozumiał, powtórzył raz jeszcze pytanie.

— Polak, Stanisław Grądzki — wybiegło z ust chorego.

Więc on z grona wszystkich, co owej pamiętnej nocy tonęli na morzu, uratował życie Polakowi? On, który ich tak nienawidził, że z rozkoszą patrzyłby na śmierć wszystkich! Justusowi na tę myśl cały świat rozpoczął szalony taniec; lądy, góry i morze w piekielny zlały się chaos. Ten rozbitek, Polak, to gadzina, którą on co prędzej wyrzuci z domu.

— Precz!—zawołał, podnosząc głos, ochryply z gniewu.

— *Wadder!* ja tego nie chcę, nie pozwolę!—wyrzekła milcząca dotąd Herta.—*Wadder!* Ty tego zrobić nie możesz!

— Justus! nie śmiej go wypędzać! Jego mowa to jakby ojców moich mowa. Dawno, bardzo dawno, gdy w Rewie inni mieszkali ludzie, pastor Zakrow takie prawił nam kazania, matka takich uczyła mnie pieśni. O! Justus! dawne, dobre czasy! Stara Schimankowa była mała, ale te pieśni dziś jeszcze pamięta dobrze... Justus! matka twoja nie umie tej mowy... ale jej nie zapomni nigdy... Matka twoja może już teraz umrzeć spokojnie—kończyła ze łzami, składając ręce jak do modlitwy.

Justus płaczącej nie widział jeszcze matki. I jego ogarnęło wzruszenie. Przytoczone przez nią wspomnienia były mu obce. Po raz pierwszy w życiu opowiadała o nich matka. W całej Rewie nikt ich nie pamiętał, chyba w sennych marzeniach przypominali sobie ludzie, że w Rewie niegdyś innym, niż *plattdeutsch*, mówiono językiem. Cała ta przeszłość zgasła, zamarła na wieki! Tymczasem zjawienie się rozbitka, jedno jego słowo, jeden pacierz przywraca ją i ożywia. W domu Justusa działy się rzeczy, na myśl o których oburzał się

patryotyzm pruski... Więc matka była z pochodzenia Kaszubką! A on tak brzydził się tą garstką sąsiadów, tak uciekał od nich, gdy na falach Bałtyku łodzie ich spotkały się kiedy przypadkiem!

— O! jak to dobrze, że w całej Rewie nikt o tem nie wie — rozmyślał zgnębiony Justus.

Herta nie rozumiała uczuć, jakie jednocześnie wstrząsały matką i synem, lecz widząc przytomność umysłu bezsilnej dotąd kobiety, przejęta, wzruszona, z uwielbieniem spoglądała na rozbitka, sprawcę tylu odmian. Omdlewającą nieomal pod wpływem przebytych wrażeń ojciec wyprowadził z pokoju.

Okolo południa cała Rewa wiedziała już o wyzdrowieniu starej Schimankowej. Jedni mówili, iż ocalony przez Justusa rozbitek był sławnym lekarzem, — drudzy znów, że bogatym hrabią, który przez wdzięczność postanowił ożenić się z Hertą. Słowem fantazyja zadowolonych rybaków pracowała nad rozwiązaniem zagadki. Ciekawsi przyszli nawet oglądać i podziwiać Schimankowę, lecz Justus nie wpuszczał nikogo, utrzymywał, że matka za bardzo jest osłabioną. Właściwie lękał się, aby przed kim nie wyjawiała strasznej, poniżającej go, jak sądził, tajemnicy.

Nienawidził rozbitka, zabronił córce z nim rozmawiać, postanowił co prędzej pozbyć się go z domu; a jednak z pewnym rodzajem zadowolenia wysłuchał jego podziękowań za uratowanie mu życia.

Zły był na siebie, na matkę, a przede wszystkim na Hertę, że wciąż tylko opowiadała o rozbitku.

— Głupia dziewczyna — myślał, żałując w duszy podjętych trudów i starań.

Nazajutrz była niedziela, dzień wypoczynku dla Rewian, a dla Herty najpiękniejszy z całego tygodnia.

Zazwyczaj w niedzielę płynęła z ojcem do Stolpmünde na spacer, gdzie w ogródku, nad morzem, spędzali poobiednie godziny. Herta lubiła niedzielne wycieczki do miasta. Świat wioskowy nie wystarczał jej. Wydelikowane pobytem w Stolpmünde, wśród innego otoczenia, nerwy drażniło towarzystwo rybackich rodzin. W mieście miała dużo znajomych i koleżanek. Siedząc z ojcem w ogródku, z przyjemnością spędziła niejedną chwilę na gawędę z żonami i córkami oficerów lub miejscowych urzędników. Gdy modnie ubrana przechadzała się po wybrzeżu, ojciec z dumą spoglądał na nią. Zwykle końca tygodnia nie mogła cierpliwie doczekać, tak długimi

wydawały się jej godziny, poprzedzające każdą niedzielę. Zawsze jaką świeżą kokardkę lub kwiatek chowała na ten dzień, najmilszy z całego tygodnia. Gospodarując w domu, marzyła o przyjemnościach świątecznych wycieczek.

W Stolpmünde, nad morzem, było tak uroczono. Muzyka wojskowa grała walca Straussa; oficerowie, pośpiewując, brząkali kuflami piwa. Światło lampionów odbijało się w wodzie, pluskały wiosła, statki dymiły, huczały parą; a Herta, uśmiechnięta, szczęśliwa, przymykając błyszczące oczy, poila się rozkosznymi marzeniami. Właściciele pięknych, ze złotymi guzikami mundurów główną odgrywali w nich rolę. Marzenia Schimanka w temże samem krążyły kole. Córka jego tylko żoną pruskiego oficera być mogła. Dla urzeczywistnienia swoich planów oddał ją na pensję; dzień i noc, jak wół w jarzmie, pracował. Burze i zawieje nie spędzały go z łodzi, ratował tonących, puszczał się na dalekie i niebezpieczne wyprawy, aby tylko piękna Herta, córka bogatego rybaka, mogła zostać żoną pruskiego oficera.

Herta podobala się ogólnie. Gdy w niedzielę łódź Justusa dobijała do brzegu, przy wysiadaniu zawsze który ze spacerujących ofice-

rów podawał jej rękę—dziewczę było u szczytu szczęścia. Dziś jednak nadzieja wycieczki nie nęciła jej wcale. Gniewało ją, że ojciec, gdy rozbitek przyszedł do siebie, zamiast oddać mu najładniejszy pokój, umieścił go wraz z rybakami na górze. Rano posłała mu śniadanie i co chwila wyglądała oknem, czy nie zobaczy go przed domem. Postanowiła koniecznie widzieć się i rozmawiać z nim. W tym celu pierwsza wyszła na dziedziniec. Ojciec spotkał ją w progu.

— No! Herta! pojedziemy na spacer? Fryc Varnow oczekuje nas z niecierpliwością.

— A cóż mnie to obchodzi?—odparła lekceważącym tonem Herta.

Ojciec spojrzał zdziwiony.

Fryc Varnow, przystojny, młody oficer, był ideałem stolpmündzkich Niemek. Hertę wyróżniał z grona wszystkich. Dawniej prześladowania ojca przyjemność jej sprawiały; dziś podrażniło ją przypomnienie poobiedniej wycieczki.

— Czy ty nie myślisz jechać?—powtórnie zagadnął córkę Justus.

— Nie pojadę...

Herta, pieszczona, samowolna, kaprysiła często. Justus sądził, że to zwyczajny manewr

jedynaczki, poza którym kryją się kobiecej strategii plany.

— Herta! Herta! Tobie znów coś w głowie kręci!

Dziewczyna śmiechem odpowiedziała ojcu i śpiesznie podążyła w stronę morza. Z daleka spostrzegła rozbitka. Pierwsza zbliżyła się do niego. Grądzki powitał ją uprzejmie.

— Jeszcze wczoraj chciałem pani podziękować za wszystko dobre, czego doznałem w ich domu; lecz, jak widzę, ojciec pani, ze względu na moją narodowość, zabrania pani mówić ze mną; dzisiaj chcę opuścić Rewę.

Herta zbladła.

— Pan nie pojedzie — przemówiła z cicha; — ojciec się już nie gniewa... Babcia...

— A pani? — przerwał jej Grądzki.

— I ja także — odparła, kłaniając się z uśmiechem.

Naiwna, serdeczna Herta wraz ze starą Schimankową, darząc go swoją opieką, miłe na Grądzkim robiły wrażenie.

— Więc dziś zostanę, ale jutro, po jutrze, rozstać się musimy, dobra panno Herto!

Herta z zajęciem wpatrzyła się w niego; zauważyła, iż takich, jak jego, oczów nie widziała jeszcze u nikogo. Stali oboje nad morzem;

promienie słońca kąpały się w jego głębiach. Ukwieczone wzorzystą grą kolorów światła, stroiło się w godowe szaty. Wzrok Herty tonął w dalekiej przestrzeni morza. Bezgraniczny jego obszar nie trwożył już jej dzisiaj. Najmniejszą łodzią puściłaby się bez obawy, byle tylko piękny Polak — jak w myśli nazywała Grądzkiego — popłynął z nią razem.

— Ach, jak tu pięknie! — wyrwał się z jej piersi okrzyk.

— Gdyby nie ojciec pani, byłbym spoczywał dzisiaj na dnie Bałtyku — przemówił Grądzki.

Na te słowa Herta, z właściwą sobie żywością i naiwnością, opisywała odwagę ojca, sławiła jego cnoty jako żołnierza, malowała swój i rybaków przestach, gdy wypłynął owej pamiętnej burzy, oraz straszne wrażenie, wywołane dziwnem wyleczeniem babki. Z niewymownem zajęciem dopytywała się także o losy Grądzkiego. Ubolewała nad okolicznościami, które go zmusiły do opuszczenia domu i rodziny, dla której był całą podporą, a tem samem skazały go na smutną dolę.

Herta nie wszystko rozumiała, co jej opowiadał rozbitek, czuła tylko, iż mówi inaczej od znanych jej dotąd w Stolpmünde młodzień-

ców. Ci rozmawiali z nią o tańcach, spacerach, piwie, koniach i kartach; śmieli się i żartowali. Ten opowiadał jej o swych stronach rodzinnych i o rodzinie, a mówiąc to, miał głos taki dziwny, że Herta napawała się jego brzmieniem, jakby pięknej muzyki dźwiękami, przekonana, że takiego głosu nigdy jeszcze nie słyszała. Była też mocno rozżaloną na ojca, że ją odwołał z wybrzeża i że przerwał miłą z pięknym rozbitkiem rozmowę.

Justus Schimank dawno nie był tak zdziwionym, jak owej chwili, gdy z przygotowaną do odjazdu łodzią nadaremnie oczekiwał na Hertę. Sądził, że, gdy nadejdzie godzina odjazdu, wszystkie kaprysy pierzchną.

— Jakto, nie jedziesz? — pytał, zobaczwszy córkę nieprzygotowaną do wyjazdu.

— Nie.

— A przecież tam wszyscy czekają; Fryc Varnow...

— A niech czekają, nie tylko Fryc, ale i cały sztab oficerów. Może ojciec pojedzie. Mnie w domu najmilej—zarumieniła się Herta na myśl o pokusie, która ją zatrzymała w domu.

— Kiedy ty nie jedziesz, to i ja zostanę—odparł Justus.

Nie mógł pojąć postępowania Herty. Nawet na chwilę nie przypuszczał, aby zaintere-

sowanie się rozbitkiem było powodem zmiany dotychczasowych zwyczajów. Na nim wszystkie kobiety, tak najpiękniejsze, jak i w przydeptanych pantoflach drepcąca Frieda, z którą ożenił się przed laty, nigdy żadnego nie robiły wrażenia. Ożenił się, gdyż potrzebował gospodyni; a kiedy umarła, w parę dni po pogrzebie zapomniał, że z domu wynieśli zwłoki kobiety, która przez kilka lat z wiernością psa spełniała wszystkie jego zlecenia.

Justus wierzył tylko w potęgę złota i armii pruskiej.

Herta, wychowana w podobnych zasadach, czyż mogła mieć inne zdanie?

— Co to jest, że nie chce płynąć do Stolpmünde?—rozważał, obserwując spacerującą po wybrzeżu córkę.

Herta stanęła nad morzem. Nie po raz pierwszy patrzyła na jego fale. Wieczny, nieustanny szum nudził ją. Piaszczyste wydmy i ławy, rzeźbione nurtami wody, zwykle smutne na niej robiły wrażenie. Tu nie było kwiatów, ani roślin cieplarnianych, które, ustawione pod werendą na wybrzeżu w Stolpmünde, nęciły ją swoim zapachem.

Tam pęki róż i lilii białych kielichy drżały od tonów muzyki wojskowej. Cały jednak ten świat, z Varnow'em na czele, zginął jej

z przed oczu. Wybrzeże było puste; rybacy, korzystając z niedzieli, wypoczywali w chatach. Sierpniowe słońce chyliło się ku zachodowi, a Herta sądziła, że to wiosna wraca, że w miejsce drobnego wrzосу, co rósł na wzgórku za ich domem, pękają pierwiosnki i śnieżne konwalie, że pustka i jednostajność widoków w Rewie jest piękniejszą od wszystkich przyjemności, co ją nadaremnie oczekiwały w Stolpmünde. Po raz pierwszy nie nudziła jej cisza i spokój wioski. Czuła, że od chwili, gdy zjawił się w Rewie rozbitek, życie inny dla niej przybrało urok. Z radością spostrzegła, że zbliża się; cały pęk świeżo zerwanego wrzосу, zmieszana, wypuściła z dłoni.

— Moje biedne kwiateczki—pomyślała,—uwiję z was dla niego wianek.

Dobierała listki, wiązała najpiękniejsze kolory, umiejętnie przekładając je gałązkami sośniny.

— Patrz pan, jaki piękny!—mówiła, podając Grądzkiemu wianek.

— Dostanę go na pamiątkę. Prawda, panno Herto? Będzie mi przypominał jej dobroć dla rozbitka.

Herta zarumieniła się, łzy stały jej w oczach; chciała mówić—słów jej zabrakło.

— Jutro muszę wyjeżdżać; tak beczynn timer zycia pędzić nie mogę. Gdyby nawet ojciec pani przyjął mnie za towarzysza swoich wypraw, inne okoliczności, dziś czy jutro, zmuszą mnie do opuszczenia granic Cesarstwa Niemieckiego—przerwał milczenie Grądzki.

— W Rewie tak dobrze, tak pięknie!— zachęcała go Herta.—Pan zostanie z nami... ja tutaj jestem tak szczęśliwą! — dodała z westchnieniem.

W samej rzeczy, była szczęśliwą, jak nigdy dotąd. Jej wesoly humor udzielał się i Grądzkiemu; nawet Justus, zwabiony śmiechem Herty, przybył na wzgórek i do wspólnej wmieszał się gawędki. W toku jej zapomniał o plemiennej nienawiści, co więcej, nawet zgodził się wziąć z sobą Grądzkiego na wielką, w dniu następnym odbyć się mającą wyprawę.

Nazajutrz od samego rana szykowano się do drogi. Wyprawa miała potrwać dni kilka; aż do brzegów Rugii postanowił dopłynąć Justus. Przygotowane łodzie czekały na wybrzeżu, jeden z młodszych rybaków uderzał wiosłami; pobudką tą wzywał uczestników wyprawy. W południe, wspólnie z kupieckim statkiem „Germania,” który raz na miesiąc zatrzymywał się w Rewie, postanowiono wypłynąć na

pełne morze. Wszystko sprzyjało podróży: morze spokojne, ciche, jakby nigdy żadnych ofiar nie pochłonęło w swoich falach, powietrze świeże i czyste. Cała wioska była w ruchu.

W domu Justusa również wrzało życie: Herta zapasy żywności układała w kosze, szczęśliwa z udziału Grądzkiego; przeczuwała, że w podróży będzie niemałą pomocą ojcu i że wspólna połączy ich przyjaźń. Nawet stara Schimankowa z zajęciem spoglądała na czynione przygotowania do drogi.

Co chwila tubalny głos Justusa nowe wydawał rozkazy. Niemale jednak ogarnęło go zdziwienie na widok śpieszących ku niemu dwóch policyantów z komisarzem na czele. Byli to goście obcy dotąd w jego domu. Znał ich dobrze,—lecz gdy uroczyście, urzędowo zjawili się w progach, Justus zbłądł.

— *Herr Schimank!* — przemówił komisarz — u was jest Polak, dotknięty prawem wydalenia... Musi natychmiast opuścić Rewę... nielegalnie u was przebywa...

— Polak!? rozbitek!... Niech jedzie! weźcie go! On... Polak?... Tak dobrze mówi po niemiecku... nie wiedziałem... — mieszał się, przerażony nielegalnością swego postępowania, Justus.

— Cała wieś tylko o nim mówi. Nawet do mnie, do Stolpmünde, doszły wiadomości o dziwnem uzdrowieniu waszej matki. To ten?... — dodał komisarz, obejmując wzrokiem wchodzącego. — Jesteście Polak? — zapytał Grądzkiego.

— Tak, Polak.

— Macie rozkaz natychmiastowego opuszczenia Rewy. W granicach Cesarstwa Niemieckiego nie wolno wam przebywać.

— Wiem o tem... Burza zatrzymała mnie tutaj.

— Tylko do godziny pierwszej wolno się zatrzymać... Wraz ze statkiem „Germania“ trzeba opuścić Rewę; ja dopilnuję tego...—decydował pan komisarz.

— Mnie nie potrzeba pilnować...—odparł wyniośle Grądzki.

Herta, słysząc rozmowę, gdy przedstawiciele władzy wyszli, zaniepokojona wbiegła do pokoju.

— Co to jest, *Wadder*?

— Co? Oto rozbitek musi natychmiast wyjeżdżać. On nielegalnie przebywa w naszym domu. Ja, Justus Schimank, popełniam bezprawie! Czy ty rozumiesz to, Herta?

Szalona rozpacz kryła się w tych słowach.

— *Wadder!* on nie może jechać... Ty go zatrzymaj. *Wadder!* gdy on pojedzie, Herta twoja umrze... Herta go kocha... — dodała z cicha dziewczyna.

Justus oniemiał na te słowa. Przepaść ukazała się jego oczom. Jakto? Herta, jego córka, przyszła żona pruskiego oficera, pokochała rozbitek, włóczęgę! Taka kombinacya uczuć zabijała go; czuł, iż ziemia usuwa mu się z pod nóg.

Herta nie знаła się na polityce—narodowość była jej obojętną; pokochała Grądzkiego i ten droższym jej był nad wszystkich. Widząc przerażenie i ból ojca na wieść o jej miłości, tuliła się do niego, całowała, pieścizotami chciała gniew rozbroić, jak wówczas, gdy dzieckiem była, o on na jej rozkazy tańczył, śpiewał, lub dobosza odgrywał rolę. Sądziła, że w jego rękach spoczywają losy jej pierwszej, jedynej miłości.

— Justus! nie śmiej wypędzać... To taki sierota jak i matka twoja... — wyrzekła stara Schimankowa, podnosząc się z krzesła.

Stała przed Grądzkim, własną zasłoniła go piersią.

— Nie jedź... nie... — prosiła Herta. — *Wadder!* zatrzymaj go! zatrzymaj!... Herta twoja umrze...—powtarzała ze łzami.

— Bóg mnie już chyba opuścił...—szeptał złamanym głosem Justus.

Zapomniał o wzdargdzie i nienawiści plemiennej. Patrząc na łzy córki, gotów był oddać cały majątek, życie nawet swoje, byle tylko rozbitek pozostał w domu i obecnością swoją przywrócił Hercie spokój. Lecz znał surowość prawa, wiedział, że o jego wyroki łamie się i rozbija wszystko.

Czas odjazdu nadszedł. Policyjanci weszli do mieszkania; na ich widok Herta załkała głośno.

Grądzki z rozrzewnieniem uściśnął dłoń płaczącej Herty. I jemu sprawiało ból rozstanie z tą dobrą, serdeczną Hertą, która z taką wiarą oddawała mu pierwszą miłość swoją.

— Hertol! ja nie zapomnę nigdy twej dobroci. To nie ojciec twój, lecz prawo wypędza mnie z granic Rewy. Bądź zdrowa i szczęśliwa... dobra panno Hertol!

On nie czuł się już tak obcym w domu, w którym mowa jego przywróciła zdrowie starej Justusa matce. Ta kobieta, obca dotąd, przyznaje się do wspólnej z nim przeszłości. Ziemia, po której stąpał, była jakby swoją. Zdawało mu się, że zmarli mieszkańcy Rewy, o których wspominała Schimankowa, dziękują mu, iż odwiedził ich groby,

że znów ponad brzegiem morza odezwały się dźwięki dawnych Pomorzan mowy.

Chwilę pożegnania mącił dobiegający od przystani gwar zmieszanych głosów. Spienione bałwany uderzały z łoskotem. Zadzwoniono na sygnał i ciężka, przemocą wrzynająca się w piaszczyste ławy „Germania“ stanęła u brzegu w chwili, gdy rozbitek po raz ostatni żegnał rodzinę Schimanków.

Na poprzedniej stacyi zachorował palacz. Grądzki, skończony technik, pozbawiony na dalszą drogę funduszków, przyjął na statku obowiązki palacza.

Oparty o komin, z którego wionęły słupy iskier i dymu, wzrokiem żegnał stojących nad brzegiem morza. Herta drżała i płakała głośno. Statek, na którego pokładzie uwijali się podróżni, zabierał całe jej szczęście.

— Już ja dzisiaj nie pokocham innego... żadnego lejtnanta nie chcę mieć za męża... — skarżyła się biedna; a gdy kończyły statku znikły na dalekim horyzoncie, z krzykiem padła w objęcia ojca.

Justus Schimank nie lękał się śmierci. W czasie wojny z zimną krwią spoglądał na tysiące poległych, z tą samą zimną krwią rzucał się w odmęt burzy morskiej; lecz na widok łez ukochanej córki płakał jak dziecko. Po-

cieszał ją, pieścił, obiecywał zawieźć do Berlina, kupić najpiękniejsze stroje—wszystko było daremne. Herta na wspomnienie rozbitka zalewała się łzami.

Dla niej Justus pracował i zbierał pieniądze; chciał ją widzieć bogatą, szczęśliwą, żoną pruskiego oficera,—tymczasem Herta pokochała włóczęgę! Na tę myśl serce pękało mu z bólu.

Stara Schimankowa nie widziała łez wnuczki i rozpaczy syna. Dusza stuletniej blisko kobiety w innym przebywała świecie. Pękały kamienne płyty starych grobów, z poza obsłom mchu i pleśni występowały dawno zmarłe postacie. Ujrzała rodziców, pastora Zakrow, pogrzeb ostatniego Kaszuba w Rewie; widziała, jak wraz z nim, zwyczajem kaszubskim, książkę do nabożeństwa wrzucono do grobu. Przypomniała sobie chwilę, w której pan baron, właściciel pięknego pałacu w Rewie, zamknął ją do aresztu za to, że kaszubskie śpiewała piosenki; widziała, jak dzieciom modlitewniki wydzierano z dłoni. Słyszała kaszubskie kazanie w Rewie, dźwięki kościelnych pieśni, śmiechy i pustoty równiennic, głośnie nawoływanie rybaków i, powtarzając, jak niegdyś za matką: „Ojcze nasz,“ stara Schimankowa zasnęła na wieki.

.

Nazajutrz matkę Justusa odprowadzono na cmentarz. Bursztynowe fale Bałtyku jęczały głośno, tłumiąc swoim szmerem dźwięki niemieckiej pogrzebowej pieśni.

Gdy trumnę spuszczano do grobu, płacząca Herta wrzuciła na spód mogiły ze czcią przez babkę przechowywaną książkę, pamiątkę po jej rodzicach, której jednakże matka Justusa czytać już nie umiała. Hieroglif, niezrozumiały dla dzisiejszych mieszkańców Rewy, spoczął wraz ze starą Schimankową w ziemi.

Książką tą była Biblia Gdańska.

WÓLKA I WILLBURG.

Skwarny dzień lipcowy chylił się do końca. Mimo blizkiej nocy, upał był straszny; powietrze ciężkie, tamujące oddech, przepowiadało zbliżającą się burzę. Czarne chmury, szybko przesuwające się po niebie, już już miały trysnąć tysiącami błyskawic.

Wobec takiej wojennej wrzawy na niebie na ziemi panowała cisza; żaden podmuch wiatru nie przerywał milczenia; kwiaty i liście zwiesiły głowy; ptactwo bez pieśni kryło się strwożone.

Burza w mieście bywa zawsze mniej groźną niż na wsi. Tam, wśród skupionych murów, rażniej jakoś ludziom; ruch pieszych, turkot jadących zagłusza huk grzmotów; piorunochrony bronią miasto od wypadków, a poza dachy i kominy domów kryje się szarpane błyskawicą niebo. Na wsi, przeciwnie, hasa

ona z całą siłą po polach i lasach, spędzając ludność roboczą i wszystko, co żyje, pod dachów schronienie.

Lud wiejski, choć z burzą oswojony, chro- ni się przed nią starannie, gdyż obawa sprzeci- wiania się woli bożej zabrania ratować rażo- nych piorunem; to też tylko nadzwyczajny wy- padek, taki, jaki zdarzył się właśnie w chwili, rozpoczynającej nasze opowiadanie, wypędza lud wiejski z chaty.

Przeczuwana od kilku godzin nawałnica wybuchła z całą gwałtownością. Po cmentar- nej ciszy, zalegającej ziemię, powstał szalony wicher. Z trzaskiem łamał gałęzie drzew, całe kłęby piasku i żwiru zrzucał w najrozmaitszych podskokach z szosy, po której sam jeden szedł, a raczej biegł, niemłody już człowiek. Ubrany w długą, szarą sukmanę, także spodnie i ka- mizelę, buty duże, ciężkie, chłopskim zwycza- jem związane, niósł na kiju; w rękę trzymał prosty, o szerokich skrzydłach kapelusz.

Szosa, po której biegł, jak zwykle wszyst- kie w Księstwie Poznańskim, wysadzana drze- wami, systematycznie ubita, w tej chwili, za- rzucona żwirem i gałęzmi, trudną, iście kalwa- ryjską przedstawiała drogę.

Bez pamięci na zawady, mimo iż pot kro- plami spadał mu z czoła, a wiatr garście pia-

sku niemiłosiernie sypał w oczy, szedł nasz podróżny. Kiedyniekiedy odwracał się i ręką wygrażał w powietrzu. Na zakręcie szosy, przy krzyżu, gdzie rozpoczynała się prywatna, do wsi prowadząca droga, chłop przystanął chwilę. Rozgorzałem okiem objął zabudowania dworskie i pałacyk, okazałe przedstawiający się z dala. Wsparty o krzyż, głuchy na szalejący wokoło wicher, zamyślił się głęboko. Z zabudowań dworskich przeniósł wzrok na ciemne obłoki niebios; zdawał się żebrać, prosić je o coś, gdyż oczy, gorejące przedtem groźbą, patrzyły już spokojniej, a łzy rzewne spływały po ogorzalej twarzy.

W tej samej chwili wężykowata błyskawica, rozdzierając niebo, poprzedziła pierwszy odgłos grzmotu. Przerażony wieśniak porwał się z miejsca, zdążając ku chacie, stojącej na wzgórku, o kilkanaście kroków od szosy. Na widok przybywającego z chaty wybiegła młoda, chorobliwie blada kobieta.

— O, mój tatusiu!—zawołała—jakże was długo nie było widać!

— I po próznicy taki kawał drogi pędziłem—odrzekł przybyły.

— Święta Maryo! co wy mówicie! Nie chce zaczekać?

— A nie. Niemiec, jak zawsze, sparty czort i tyla. Byłem we dworze... powiedzieli, że w mieście; poszedłem za nim, tyle prosiłem... i darmo. Szwargotał, kanalia, że jak nie złożę jutro 40 talarów, to nas wyrzuci, bo kwit kupił od żyda.

— A nie mówiłam wam, tatusiu, że z nim nie poradzita?—przerwała, załamując ręce, kobieta. — Lepiej było ustąpić. Było już lepiej sprzedać, bo i tak im nie dacie rady, tatusiu. Wieś przewali, a cóż dopiero naszą chudobę! Każą i musi być nazwa królewska.

— Kto mi każe? Nie gadaj głupstw, Baśka!—ofuknął córkę Tomasz.—Wieś przewali Willburgiem, bo tak chciał dziedzic, Prusak; do mego... wara Niemcom i landratowi!

— Tatusieczku, nie upierajta się! Wólka czy Willburg, to ta wszycko jedno; my ta i tak katolicy.

— Co ty wiesz, głupia? Ja, choć prosty chłop, ale rozumiem niejedno i wiem, kiedy ustąpić. Widzisz, i pan z Hardowa i pan z Dobrejwoli także nie chcą przystać na niemiecką nazwę. Nie wszycko to jedno, mówię ci.

— To pany, oni dadzą sobie radę, ale nie my, chudziaki—wtrąciła Baśka.—A dyć prawujecie się, tatusiu, tyle czasu i cóż dobrego? ino same sztrafy. Wszystko poszło za długi: ani

krowy, ani przyodziewku. Ja zaniemagam, a roboty niema. Żeby choć Jędrak był z nami.

I rozplakała się biedna.

Łzy córki nie przekonały Tomasza. Upór leży już w charakterze polskiego chłopca; raz obraną drogą idzie on, bez względu na mogące stąd wyniknąć skutki. Upór zresztą Tomasza potęgowały jeszcze osobiste przekonania. Tomasz lubił czytać. Nieraz wpadło mu w rękę jakie pismo ludowe, a dawniej, za lepszych czasów, kiedy i Wola była w innych rękach, wspólnie z dziedzicem jeździł na zebrania kółek włościańskich; znał dokładnie miejscowe stosunki i miał też o nich jasne, zdrowe, prostym chłopskim rozsądkiem wyrozumowane pojęcia. Basia jednak nie podzielała zdania ojca; przed oczyma jej stała tylko nędza obecna i jutro, grożące jeszcze straszniejszą niedolą.

— Nie płacz już, Baśka, nie — mówił Tomasz, patrząc na córkę, — nie doskwiraj, bo to kara boża. Lepiej chodźwa do izby, bom strasznie zбитy i zmoczony.

W sieni Baśka nieśmiało spytała ojca:

— A cóż, listu niema, tatusiu?

— Niema i nie będzie — mruknął stary. — A nie mówiłem: nie posyłaj go na zarobek do Niemca. Macie teraz: ani listu, ani pieniędzy. Już go te szelmy przekabacili na swą stronę.

Baśka, dowiedziawszy się, że listu nie było na pocztę, aż za głowę schwyciła się z rozpacz.

— O, mój Jezusiczku! pewnikiem chory! Jak miał, to przysyłał pieniądze i było nam lepiej. Chybaście mu nie napisali o wszystkim?

— Toć pisałem, pisałem, że nas ten kuty Niemiec do krzty chce zgubić — zakończył Tomasz, wchodząc do izby.

Ów „kuty Niemiec,“ jak go nazywał Tomasz, pan Gottlieb Filner, przed kilku laty nabył na licytacji publicznej Wolę, ładny i w urodzajnej okolicy księstwa położony majątek. Wieś w ręku Filnera zmieniła się do niepoznania. Zamiast starego modrzewiowego dworu stanął pałacyk o basztach i wieżyczkach, a w parku za ogrodem, w miejscu, gdzie szumiały jodły i dęby, widniał, niby rząd iglicówek, las chmielowych tyczek.

Gottlieb Filner pochodził z okolic Berlina. Pierwszą kulturtregerską jego stacją była wieś Wróblewo w Prusach Zachodnich, którą za bezcen nabył od jednego, jak zwykle mawiał, z *polnische szlachcicen*. Po wielu latach szczęśliwego prowadzenia najrozmaitszych interesów w Wróblewie osadził jako rządcę swego kuzyna, a Wolę, jako więcej odpowiadającą

wymaganiom bogatego już teraz dziedzica, obrał za rezydencję własną.

Główną reformą gospodarczą Filnera w Woli było wybudowanie trzech fabryk. Założony browar, gorzelnia i młyn parowy potrzebowały wielu robotników.

Tak ucywilizowana Wola ustąpiła w końcu miejsca szumnemu Willburgowi. Nazwa, którą uświęciły wieki, zmieniła się na żądanie jednego przybysza. Chłopi wprawdzie nie uznawali tej zmiany, nikt jednak nie mógł stawiać opozycji, gdyż Filner był dziedzicem i miał za sobą prawo.

Owa chata na wzgórzu i kawałek ziemi, od krzyża po lewej stronie szosy leżący, Wólkę powszechnie zwany, należał do starego Tomasza Wolczaka. Na gruncie tym Filner postanowił wybudować karczmę.

Taka karczma niemałe przedstawiała korzyści; to też Filner za jakąś cenę postanowił nabyć grunt i wybudować na nim *Gasthof zur Stadt Ohlau*.

Ułożywszy sobie ów plan, zawezwał do dworu Tomasza; lecz stary Wolczak odmówił stanowczo żądaniu dziedzica. Filner, widząc, że polubownie nie nabędzie gruntu, rozpoczął prześladowanie chłopa. Rolę, która klinami wchodziła w grunta dworskie, wypasano mu

zawsze; ale niech tylko wypadkiem było Tomka wpadło na grunt Filnera, następowały skargi jedna za drugą, a stąd sprawy, kończące się zwykle przegraną Wolczaka.

Kilka lat podobnego życia sprowadziło długi i ruinę. Jedyłą pociechę starego była córka Baśka, wydana za cieślę Jędrka Zawalę, i wnuczek Kubuś. Jędrka również dotknęła nienawiść Filnera; nie mając w domu roboty, zwabiony przez dziedzica Woli obietnicą wielkich zarobków, wyjechał do Wróblewa.

Tomasz sprzeciwiał się wyjazdowi zięcia, lecz Jędrak chciał spłacić dług, zaciągnięty przed rokiem u Izydora Rosbauma, mocą którego z chwilą chybienia terminu wypłaty grunt i chata Tomasza przechodziły na własność wierzyciela.

W pierwszych miesiącach listy, a czasami i pieniądze, przychodziły od Jędrka; ale od kilku tygodni żadnej wiadomości nie odbierał odeń Wolczak.

Tymczasem termin spłacenia długu nadszedł, a stary Tomasz nie miał ani grosza na wykupienie z zastawu chaty i ziemi, którą tak bardzo ukochał. Sama myśl opuszczenia chaty przejmowała go strachem, głuszyła obawę nędzy.

Niestety, widniała ona z każdego kąta. Chata, tu i owdzie podparta, chyliła się do upadku; stodoła i obora były próżne; nawpół obalony chlew wskazywał, że już z niego dawno odbiegli mieszkańcy; tylko kilka szarych, kąpiących się w błocie gęsi stanowiło całe gospodarstwo. W izbie, prócz łóżka, kolyski i kilku ławek, nic więcej nie było; ściany ciemne, okopcone, świecące szparami, ozdabiał prosty, poczerniały od starości obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, otoczony zeschniętymi wiankami i palmą święconą. Na kominie, bladym oświeconym ogniem, gotowały się w garnku ziemniaki, zwykłe i jedyne pożywienie biednych.

Tomasz, zgnębiony odmową dziedzica, znużony drogą, ani myślał o wieczerzy. Powiesiwszy na kołku zmokłą kapotę, zbliżył się do okna.

— Patrz ino, ty, Baśka, jak tam nad dworem biją pioruny. Żeby ich Pan Bóg wymiółł co do jednego za moją krzywdę—mówił, obejmując wzrokiem widniejący z dala dwór wolski.

— Święta Maryo! tatusiu! — krzyknęła, zegnając się, strwożona Baśka — toć to grzech! nie pomstujta ich, tatulu.

Odpowiedź Tomasza zagłuszył turkot zatrzymującego się przed chatą wozu. Na małym jednokonnym wózku siedział Izydor Rosbaum, wierzyciel Tomasza.

Na jego widok staremu krew zakrzepła w żyłach.

— *Guten Abend*, panie gospodarzu — zaczął przybyły stojącego na progu chłopca. — Cóż u was słychać? Właśnie przejeżdżam i umyślnie wstąpiłem. Chciałem was widzieć, panie Tomaszu. Cóż zięć? czy pisał? jakże tam wasz interes? — pytał niby od niechcenia.

— Abo to Izydor nie wie, kiej mnie sprzedał temu zbójnikowi — z gniewem odparł Tomasz.

— Jako sprzedał? co wy mówicie, gospodarzu! Wyście byli winni; a że mi pieniądze wtedy były potrzebne, więc dziedzic wygodził i przejął wasz dług; a kto winien, ten dziś, czy jutro, zawsze musi oddać.

— Ale wyście umyślnie pożyczili, aby później sprzedać mnie Niemcowi. Zaprzepaściliście, zaprzepaściliście mnie i moje dzieci na wieki. Za 40 talarów chcecie mnie zniszczyć, wyrzucić — zapalał się coraz bardziej Tomasz; — ale ani wam, ani temu lutrowi ludzka krzywda na dobre nie wyjdzie.

Wystraszona głośną rozmową Baśka ukazała się we drzwiach.

— Tak, jak my marniejemy — dodał, wskazując córkę, — tak i z wami i z dziedzicem będzie kiedyś.

— Ja nic nie winien i dziedzic nie winien — odpowiedział drwiącym głosem Izidor. — Trzeba było słuchać Filnera, sprzedać grunt i wszystko byłoby dobrze. Czy wasza chałupa będzie Wólka, czy Willburg, to wszystko jedno, byle geszeft był dobry; ale wy zawsze takie głupie. No, jednak i teraz jeszcze, bylebyście tylko mnie słuchać chcieli, to mogę wam pomódz...

— Tfu! — splunął, przerywając, wieśniak. — Niech was ta wciornaścy wezmą z waszymi geszeftami i z waszą pomocą! A wam co do mnie? Nie dość, żeście mnie oszwabili, ale jeszcze będziecie mi tu dyszkurować i przedrwiwać? A wam co do mnie? Ruszajcie sobie z przed chaty, bo, jak mi Bóg miły, zamaluję was tak, że mnie pamiętać będziecie! — zakończył, trzęsąc się z gniewu, Tomek.

Za całą odpowiedź Rosbaum, mruczając jakieś niewyraźne przekleństwo, szybko zaciął konia i podążył w stronę dworu.

Izidor Rosbaum, żyd, bogaty handlarz zbożowy z sąsiedniego miasteczka, znany był

w całej okolicy z lichwy i szacherek. Tylko jedna fizyognomia zdradzała w nim żydowskie pochodzenie, zresztą był to Niemiec. Izydor Rosbaum mówił po polsku o tyle, o ile język ten był mu potrzebnym w prowadzeniu interesów z okolicznymi obywatelami i chłopami. Niemców lękał się i szanował ich bardzo, a nad wszelki wyraz czuł się obrażonym, jeśli go ktoś nazwał żydem; przytem zawzięcie wypierał się licznej swej rodziny, zamieszkującej jedno z małych miasteczek w królestwie, rodziny, która pędziła życie kłopotliwe, biedne, ale uczciwe.

Dla Rosbauma ideałem człowieka był Filner. Jego umiejętność i szczęście w prowadzeniu interesów w podziw wprawiały handlarza, tak, iż zawsze z najwyższem zadowoleniem i czołobitnością spełniał każde jego życzenie. Nic więc dziwnego, że, znając zamiary dziedzica Woli, wyzyskał kłopotliwe położenie Tomka Wolczaka i pożyczył mu pieniędzy na ogromny procent, aby później chatę i grunt, o wiele więcej wartujący, a wzięty w zastaw, sprzedać Filnerowi. Rosbaum nie gardził żadnym interesem, z każdej umiał korzystać chwili. I dzisiaj nawet, przybywając przed chatę Tomkową, chciał zrobić rekonesans, czy przed sta-

nowczą bitwą nie da się wyciągnąć jakiej korzyści z chaty i z mienia biednego chłopą.

Po odjeździe Rosbauma Tomasz długo ławem okiem spoglądał w stronę oddalającego się wózka. Cisza ponura, ciężka, przerywana tylko pluskiem deszczu, zalegała izbę. Przez głowę Tomasza różne przechodziły myśli:

„Ta bestya to mi jeszcze skargę urządzi w gerychcie. Ale niech go tam dyabli świsną! Szkoda, że go nie sprzął należycie, bo te Niemczyska to zawdy boją się chłopą. Kiej już na ostro, to na ostro—rozmyślał Tomasz, patrząc na niknący w topolowej alei wózek. — A ta szelma Antek to mi dziś powiedział, że na darmo za łby się wodzę z Niemcem, bo i tak nas zmoże. Adyc toby był koniec świata, żeby tak marnie moją ojcowiznę wypuścił zbereżnikowi. Co taki głupi Antek! on ta nijakiej nie rozumie sprawy, ani czytanego, ani pisanego nie zna. Jak Jędrek nie przyśle pieniędzy, niech mię ta wyrzuci, a nie ustąpię“ — zakończył swoje rozumowanie Tomasz.

Baškę innego rodzaju niepokoiły myśli:

„Tatuś to ta zawdy taki harny, zamiast mnie usłuchać i poprosić grzecznie. Już ja jutro wezmę Kubusia, pójdę do dworu, pięknie się pokłonię, za nogi wezmę dziedzica i jak zacząć prosić, toć mnie prędzej wysłucha—ukła-

dała sobie Baśka. — Tatuś to ta nikomu nie ustąpią, a z Niemcem toby się ino bili. I cóż to z tego, kiej oni zawsze górą.“

Baśka tak już na pewno widziała uwieczoną swoją bytność u Filnera, że, nie mogąc stłumić rozpierającej serce nadziei, pierwsza przerwała milczenie:

— Tatusiczku! jutro rano sama pójde do dziedzica prosić, aby zaczekał. Wezmę z sobą Kubusia; jak nas oboje obaczy, może prędzej wysłucha.

— A rób ta, co chcesz, ale ja w Niemca nie wierzę. Zaszwargocze cię i tyła będziesz miała.

— Tylko ten raz spróbuję, tatusiu; toć i list od Jędrka przyjsć jeszcze może, abo sam chudziaczek nadjedzie.

A tymczasem na dworze burza jeszcze nie ustawała. Z okien daleki roztaczał się widok. Na dole, we wsi, rysowały się wysokie kominy i szczyty zabudowań dworskich. Mimo późnej nocy, w fabrykach pracowano jeszcze—śnać wykończano jakąś pilną robotę. Dym, ziejący z kominów, zwiększał jeszcze cienie nocy, a czasami tryskając tysiącami iskier, wybuchał wysoko, jakby urągał burzy.

Zziębły, zmęczony drogą i troską Tomasz zasnął w końcu na ławie pod oknem. Baśka,

z różańcem w rękę, modląc się na intencję jutrzejszej wyprawy, ukłękła przy kołysce syna.

Około północy piorunowe chmury powędrowały dalej. Świeżość skąpanego deszczem powietrza, zmieszana z zapachem kwitnących lip, balsamiczną wonią zapełniła izbę. A kiedy księżyc zajrzał do chaty z za chmur, mieszkańcy jej zasnęli już tak cicho i spokojnie, jakby żadna troska nie ciążyła nad ich głowami. Prawo natury, silniejsze od troski ludzkiej, ukołysało ich do snu.

II.

Promienie wschodzącego słońca zbudziły Baśkę. Wstała tak blada i zmieniona, że Tomasz, zdziwiony wyrazem jej twarzy, zapytał:

— Bój się ty Boga! jak ty wyglądasz? Chyba nie zajdziesz do dworu.

— To nic, tatulu, nic, tylko zimno trzęsło mnie w nocy, przemokłam do cna.

Smutne to życie biednych! Cierpienia moralne, ból fizyczny, wszystko trzeba złożyć na ołtarzu konieczności. Baśki nie miał kto zastąpić, wyręczyć; choć siły ją opuszczały,

musiała pomyśleć o zgotowaniu śniadania i zamieceniu izby. Przystroiwszy Kubusia w jedyną, pozostałą z lepszych czasów sukienkę, sama uboga odziana, zabrała się do wyjścia. Na myśl odmowy drżała ze strachu, nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Tomasz smutnem okiem patrzył na przygotowania córki. Przeczował, że w końcu walka z dziedzicem będzie daremną; za nic jednak nie byłby opuścił chaty. „Niechaj wyrzuca—myślał w duszy,—ale sam nie ustąpię.“

— Ostajta z Bogiem, tatulu—mówiła Baśka, wychodząc z chaty.

— Idź z Bogiem — żegnał córkę Tomasz.

Drogą z Wólki do dworu była niedaleką,— w zwykłych warunkach w kwadrans przebywała ją Baśka, ale dzisiaj zdawała się jej przestrzenią bez granic.

Dwór w Woli, a raczej, jak urzędownie teraz nazywano—w Willburgu, ładnie się przedstawiał. Zabudowania starannie były utrzymane i nawet najwybredniejszy Holender, mijący co tydzień nie tylko drzwi, ale i dachy domów, byłby zbudowany ich porządkiem. Baśka, przeszedłszy dziedziniec, nieśmiałym krokiem dążyła do pałacu.

Była to ranna godzina. Gottlieb Filner, tłusty, rumiany, z siwemi bakenbardami Nie-

miec, siedział na ganku. Zajęty gazetą, nie widział zbliżającej się kobiety; zapewne czytał jaki sensacyjny artykuł, gdyż czasami gładził się po zaokrąglonym brzuszku i pykał z krótkiej fajeczki, co u niego było zawsze oznaką najwyższego zadowolenia.

Nie wiem, jak długo byłaby tak stała Baśka na schodach, w kornej postawie, gdyby nie wejście na ganek panny Lischen, młodej, dość ładnej córki dziedzica.

— *Gut Morgen* — mówiła panna, całując ojca w rękę.

— *Morgen* — odrzekł Filner, obejmując zadowolonym wzrokiem krzątającą się około przyrządzenia śniadania córkę.

W tej samej chwili Lischen, spostrzegłszy kryjącą się poza kolumną ganku Baškę, szepnęła z cicha:

— Papa!

— *Was willst du?*

— *Eine arme Frau* — wskazała ręką Lischen.

Filner z gniewem odrzucił na bok gazetę. Nędza była mu dziwnie wstrętną—biednych, przychodzących do pałacu, odpychał zawsze nieludzko. Baškę poznał od razu, i choć wiedział dobrze, po co przyszła, stanąwszy jednak w wyzywającej postawie na ganku, z rękami

włożonemi w kieszenie, zapytał surowo, czego żąda.

— Przyszłam do wielmożnego pana...— mówiła cicho Baśka, schylając się do nóg dziedzica.

— Co za jedna? po co przyszła? — przerwał gwałtownie Filner.

— Adyć to ja, Baśka z Tomaszowej Wólki—drząc jak liść osiczyzny, szeptała kobieta.— Dopraszam się łaski wielmożnego dziedzica, żeby nas biednych nie wyrzucał. Paniczku! ino do zimy poczekajcie.

— Ja nic nie chce, nic nie wie, ja kwity kupił, pieniądze wydał! — krzyczał coraz głośniej Filner.

Lischen, nierozumiejąca słowa po polsku, przysłuchiwała się tej scenie, rozgniewana w duszy na żebraczkę, która śmiała irytować jej *theuerster Vater*.

— Wielmożny, jasnie wielmożny panie!— prosiła Baśka.— Jak Jędrak powróci, lub przysła pieniądze, to zapłacimy wielmożnemu panu. Tacyśmy biedni, paniczku!

— Cicho, głupia baba! — krzyknął Filner. — Ja mówił twemu ojciec, a on trzy lata ze mną się klóci i nie chciał mnie słuchać. Same *Lumpen*, a takie harde, jak panowie.

Wólka *ist mein* — dokończył Filner, dumny z tej nowej zdobyczy.

— Wielmożny paniczku — próbowała raz jeszcze zmiękczyć serce dziedzica Baśka, — my tacy biedni! Dyć Jędrak pracuje u wielmożnego pana w Wróblewie.

— Co za Wróblewo? tylko Sperlingdorf. Zwaryowała baba! Co mnie do Jędrak? Dać 40 talarów, a nie, to wypędzę! — krzyczał wściekły ze złości Niemiec.

Baśka raz jeszcze schyliła się do nóg, lecz Filner pchnął ją tak silnie, że aż potoczyła się biedna.

Gdy spłakana, prawie bezprzytomna kobieta opuszczała dziedziniec, Filner powrócił do *Posener Zeitung*, aby poglądami tej szlacheckiej gazety ukoić wzburzony umysł. Filner nie cierpiał żadnych wstawiennictw i tłómaczeń; nawet kochana jedynaczka nie mogłaby była użyć swego wpływu, tembardziej, gdy powodem irytacyi byli *die verfluchten Polaken*. W milczeniu więc Lischen podała ojcu filiżankę świeżo sparzonej kawy i butersznit. Papa jadł, sapiąc, a córka nie przerywała ciszy.

Do codziennych zwyczajów Filnera należała owa ranna siesta na ganku. Czynny, ruchliwy, cały dzień był zajęty; tylko tej jednej chwili wypoczynku nie mógł sobie odmówić.

Korzystając z czasu, gdy papa czytywał gazety, Lischen oddawała się zwykle muzyce. I dzisiaj też, zobaczywszy uspokojoną już twarz rodzica, opuściła ganek. Za chwilę przez otwarte okna saloniku płynęła czystym, miłym głosem śpiewana melodia: *O Strassburg, Strassburg, du wunderschöne Stadt!*

Kiedy Filner rozkoszował się artykułami *Posenerki*, a panna Lischen w nostalgicznej ekstazie śpiewała pieśń o *Vaterlandzie*, Baśka, ogłuszona krzykiem Filnera, chwiejnym krokiem wychodziła z dziedzińca.

Za bramą otoczyło ją kilku ludzi dworskich. Wolczaków lubiono we wsi i szczerze ubolewano nad ich niedolą, nikt jednak nie mógł im przyjść z pomocą. Ludność polska w Woli była bardzo ubogą, a powtórę wiedzieli, że tym sposobem naraziliby się na nieubłagany gniew i zemstę dziedzica.

— Już ja wam powiadam, Jędrkowa—szeptał Błażek, stajenny,—że to gorszy od biesa Niemiec. Żebyście krwawemi płakali łzami, to nie zlituje się nad biednym człekiem. Trza-ż wam już było lepiej sprzedać chałupę. Jeśli to tak dłużej potrwa, to zginiemy wszyscy do cna, abo se z nim inak poczniemy.

— Jak wrócić do domu, co powiedzieć tatulowi? — myślała biedna. Ostatnia nadzieja

zawiodła, a wraz z nią siły opuściły ją do reszty. Za opłotkami dworskimi musiała usiąść na kamieniu. Słowa Filnera dźwięczały jej w uszach, nie słyszała nic więcej. Nie wiedziała, co się wkoło niej działo; nie czuła palących promieni słońca, które prostopadle padały na jej głowę. Daremnie mały Kubuś wyciągał rączyny do rosnących w zbożu ponad drogą chabrów i kākoli. Cały świat zniknął jej z przed oczu, a w głowie powstał dziwny, nieokreślony zamęt. Zdawało się, że życie całe odbiegło ją w chwili, gdy opuszczała pałac dziedzica Willburga.

Niespokojny o córkę Tomasz wybiegł na-przeciwko. Zobaczywszy siedzącą nad drogą, z czerwonymi od łez oczyma, z rozpaloną twarzą, domyślił się prawdy.

— Chodź do domu, Baśka—zbudził córkę z zamyślenia,—niechta przynajmniej to cygańskie plemię nie widzi naszych łez i niedoli.

Baśka powolnym krokiem szła za ojcem. W tej chwili już jej nie obchodził świat cały. Nędza, odmowa Filnera, żal do ojca za upór, odzywający się czasami w skołatanej piersi—wszystkie te uczucia zamarły na zawsze. Wszedłszy do izby, machinalnie mlekiem, przyniesionem przez jakąś kumoszkę, napiła synka, utuliła go do snu, a potem sama, spokojnie, bez

skargi i jęku, położyła się na ubogie posłanie, aby już więcej z niego nie powstać. „Jeśli to śmierć — myślała, zbierając rozproszoną gorączką pamięć,—toć i dobrze, że mnie zabierasz z sobą, Matko Częstochowska, kiej Jędrrek zapomniał, a Niemiec wyrzuca z chaty.“

Pod wieczór straciła przytomność. Wyrazy: Jędrrek, zlitujcie się, paniczku, tacyśmy biedni! — bezładnie wracały na spieczone gorączką usta. Tomasz pobiegł na wieś zawiadomić kumoszki o chorobie córki. Po nocy, spędzonej nad kołyską syna, w wilgotnej izbie, nastąpiło silne zaziębienie; obawa odmowy, krzyk Filnera i te kilka godzin, spędzonych na upale, spowodowały zapalenie mózgu.

Nie pomogło ani puszczenie krwi koziem, ani zażegnnywanie słynnego na całą wieś w swej sztuce owczarza: około północy skończyła ziemską pielgrzymkę, aby przejść w krainę, wolną od trosk i goryczy. Chciwość i plemienna nienawiść już jej nie mogły dosięgnąć. Leżała uśpiona, z wyrazem takiego szczęścia na bladej, schorowanej twarzy, jakiego w życiu nie zaznała nigdy. Tomasz, na pozór spokojny, klęczał nad zwłokami córki; tylko usta zaciśnięte mruczały jakieś niewyraźne słowa.

O świcie podniósł się z ziemi stary Tomasz i obojętnem okiem powiódł dokoła. Nie

obchodził go ani cichy, pogodny ranek, ani fale kołyszącego się za opłotkami zboża, ani gęsi, krzykliwie dopominające się karmi. Wszystko przepadło, zginęło mu z oczu; widział tylko martwą, zastygłą pod uściskiem śmierci twarz córki. Trup leżał spokojnie na łóżku; baby wpół senne, kiwając się na różne strony, szeptały zdrowaśki, a Tomasz wciąż patrzył i patrzył na Baśkę. Wkońcu ukląkł, pomodlił się nad zmarłą, ucałował zimne ręce i szybko wyszedł z chaty.

— Gdzie to idziecie? — spytała go Matu-sowa.

— Do proboszcza. Litościwy, to da na trumnę i pochowa darmo. Niech ta już będzie pogrzeb jaki chce, byle prędzej, zanim ten psu-brat tu przyjdzie. Jeszczeby mi trupa wyrzucił z chaty. Moja kumoszko—dodał po chwili,—po pogrzebie weźcie ze sobą dziecko, bo już tu więcej nie wrócę.

Baby, patrząc na niego, kiwały głowami.

Wiadomość o śmierci Baśki lotem błyskawicy rozeszła się po wsi; chłopci aż ręce zaciskali z gniewu, tak ciężko uczuli niedolę brata. Gdyby był wówczas Rosbaum pokazał się we wsi, byliby kamieniami zarzucili jego jednokonny wózek, bo złowróbnem okiem spoglądali w stronę dworu. Dziedzica Woli nie po-

ruszyła wiadomość o śmierci Baški i z takim samym spokojem odbywał ranną siestę na ganku. Miał rację. Co Gottlieba Filnera, dziedzica rozległych dóbr, mogła obchodzić nędza i cierpienie Tomasza Wolczaka, właściciela kilku morgów i nawpół rozwalonej chaty?

Przed wieczorem przybył proboszcz z sąsiedniej wioski, ze światłem i pochodniami; chłopci przynieśli naprędce skleconą trumnę i włożono w nią zmarłą.

Pogrzeb ubogich nie wymaga wielkich starań i zachodów, a szumne, nieraz fałszywą nutą brzmiące mowy pochwalne nie przedłużają smutnego obrzędu.

Nad trumną Baški szczerze płakali ludzie wolscy, żałując przedwcześnie zmarnowanego życia. Tylko ojciec, zimny z pozoru, nieporuszony, patrzył na wszystkie przygotowania.

Kiedy trumnę wynoszono z chaty, w progu ukazał się urzędnik sądowy z woźnym, zabierający na rzecz długu Filnera grunt i chatę Tomasza. Spełnieniu litery prawa nikt nie przeszkadzał, bo i któżby pomyślał o tem? Złożono trumnę na wózku, a na jej białem wieku, zamiast wszelkich ozdób, widniał węglem namalowany, prosty, czarny krzyż. Zapalono światła, ksiądz pokropił wodą i zaintonował pieśń żałobną. Odpowiedział mu płacz kobiet

i krzyk Kubusia, wystraszonego niebywałem dotąd w jego życiu zjawiskiem—i cały orszak, skromny, ubogi, a smutny jak życie sieroty, podążył w stronę wioski parafialnej.

Zajęcie gruntu i ruchomości Tomasza nie trwało długo; nędza łatwo da się ująć, a przytem dziwnie się spieszyli wykonawcy woli Filnera. W izbie wiało cmentarne powietrze; dym kadzideł i świeżo pogaszonych świec dusił, a płynący z dala smutny, rzewny śpiew żałobnego pochodu mącił ich spokój. Życzeniu dziedzica Willburga stało się zadość—mógł już swobodnie na gruzach ludzkiego szczęścia budować karczmy i *gasthauzy*.

Tomasz na grobie córki przesiedział do wieczora; daremnie odciągali go wieśniacy i wieśniaczki.

— Do zmierzchu tu przesiedzę—odpowiadał wszystkim,—niech się przyzwyczai; byłoby jej markotno tak samej leżeć w dole.

Już zmrok zapanował na ziemi, gdy Tomasz wszedł do chaty Matusów, gdzie wraz z dzieckiem znalazł przytułek. Zbliżył się do kołyski wnuka. Dziecię nie spało jeszcze; leżało swobodnie i szeroko roztwierało oczy, przypatrując się nowym twarzom i otoczeniu. Do dziadka z uśmiechem wyciągało rączyny, nie przeczuwając, że to po raz ostatni, że wkrótce

nowe nad niem zaciąży sieroctwo. Długo wpa-trywał się w malca, ucałował go szczerze i wybiegł z izby.

— A wy gdzie, kumotrze?—spytała krzątająca się koło wieczerzy Matusowa.

— Do Józka po kosę; obiecał mi pożyczyc, a jutro skoro świt chcę iść na zarobek.

Zamiast jednak do chaty Józka, stojącej na końcu wsi, Tomasz podążył w stronę dworu. Biegł szybko, gnany jakąś niewidzialną siłą; chwilami zatrzymywał się w miejscu, patrząc ponuro w ziemię. W duszy starego Tomka rozgrywał się straszny, rozdzierający dramat, walka z samym sobą, z namiętnościami—które, zbudzone do życia grozą nieszczęść i niesprawiedliwości ludzkiej, wyrывały się z więzów religii i moralności.

Wszystko, co dotąd przeszedł, przeboleł, stanęło mu przed oczyma. Praca ciężka w pocie czoła, tyloletnie pasowanie się z nędzą, walka z Filnerem, śmierć ukochanej córki—kolejno przychodziły mu na myśl i jak kleszczami szarpały bijące pod prostą siermięgą serce.

„Toć pracowałem całe życie, i na co mi przyszło. Nie piłem, jak Kuba lub Grzela, a tak samo marnieję — rozmyślał, zaciskając ręce.— Anim dziecka nie miał za co pochować, ani głowy gdzie schronić na stare lata. Kiej ja

ginę, niech i on ginie niedowiarek“ — dodał, robiąc kilka kroków na przód.

To znów inna, odzywająca się w nim siła wstrzymała go. Jasne chwile, których tak mało było w życiu biednego chłopca, odbiły się w zamroczonej zemstą i goryczą pamięci. Widział się małym chłopcem, jak za bydłem biegał po zagonach tatusia, jak do późnej nocy nieraz, parobkiem będąc, wygrywał na fujarce przed chałupą, a Marysia Glapianka aż pod krzyż na szosę wychodziła z ojców izby, aby usłyszeć jego granie, i po tej muzyce śpiewała tak ślicznie, tak wyciągała nuty, że aż śmiało się serce. Przypomniawszy sobie pierwsze lata gospodarki z ową Marysią na swoim już chlebie, jak później dla wcześniej przez matkę osieroczonej Baśki wystrugiwał najrozmaitsze młynki i wiatraczki. A dzisiaj... tej Baśki zabrakło mu.

Na tę myśl rozplakał się stary jak dziecko. Jakiś głos wewnętrzny szeptał mu do ucha: „nie zabijaj;“ to znów w dali mignęła postać księdza, mówiąca ostatniej niedzieli na kazaniu o darowaniu win i miłosierdziu bożem.

„A czemuż on nie miał miłosierdzia nad nami? Czemuż mi nie darował, choć pan i bogaty? Czemuż zabił mi dziecko, wyrzucił jak psa i za co? — tłumaczył się przed sobą Tomasz — za co?“

Blady, jednym skokiem stanął pod zabudowaniami dworskimi. Szybko, jakby z obawy, by inne myśli nie zagłuszyły postanowienia, drżącą ręką wyciągnął z kieszeni sznur, potargnął czy mocny, szybciej jeszcze wydobył małe zawiniątko, wyjął z niego kilka obłanych smołą drzazg—i w ten sposób urządziwszy stos zapalny, podsunął się pod dworskie, pełne świeżo zwiezonego zboża stodoły.

Wtem, zamiast rzucić ogień pod progi swego prześladowcy, Tomasz drżący, blady jak widmo śmierci, padł na kolana. Na dworze była cisza, ani jeden liść nie drgnął; piosnka wiejskiej, siedzącej na progu chaty dziewczyny dawno już umilkła; spracowana ludność zasypiała błogo; nawet grzechotanie żab nie mąciło harmonii spokoju natury. Wśród tej ciszy nocnej wyraźnem choć dalekiem echem odbijała się pieśń gromadki pielgrzymów, dążących na odpust do miejsca świętego. Unikając upału, szli nocą. Prosta a pełna głębokiego uczucia i rzewności pieśń: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“ rozchodziła się w ciszy. Wyrazy: „iżes rzekł Panu: Tyś nadzieja moja, i Bóg najwyższy jest obrona twoja“ padły wprost do zranionej, przepelnionej zemstą duszy Tomasza. Wytrącając płonące luczywo z ręki, uchroniły go od podwójnej

zbrodni podpalacza i samobójcy. Ocalony, podniósł się z ziemi; chciał modlić się, lecz słowa zamarły mu na ustach; w sercu uczuł dziwny, niewytłómaczony ból i zaledwie zdołał się przyczoić do Matusów chaty.

W izbie jeszcze się świeciło; na ławie pod kominem siedziało kilku chłopów, umyślnie na gawędę przybyłych. Rozbierali żywo zaszłe w dniu tym wypadki, gdy Tomek chwiejny, blady, stanął na progu.

— Bójcie się Boga! Tomku, co wam to?

— Nic mi nie jest, ino mię strasznie ścisła — odparł gasnącym głosem.

Matusowa szybko podbiegła z wodą; nim jednak mógł przyjąć orzeźwiający napój, padł, tknięty paraliżem serca.

W tej chwili powstał krzyk i płacz nie do opisania, nie wrócił on jednak życia staremu Tomkowi. Nadmiar nieszczęść zabił biednego chłopca.

Nazajutrz zjechał z miasta sąd, nastąpiło śledztwo, jak zwykle w nagłych wypadkach śmierci.

Przybyły z miasta fizyk ¹⁾ powiatowy, Niemiec, zaopiniował, że śmierć nastąpiła wsku-

¹⁾ Fizykami nazywają w Księstwie Poznańskim doktorów powiatowych.

tek nadużycia wódki. Chociaż wieś cała zeznała, że stary Tomek nigdy nie był pijakiem, a w dniu tym nawet wódki nie widział, szanowny eskulap nie mógł się zgodzić na to, aby chłop, a do tego polski, mógł umrzeć na chorobę serca.

Po ukończonem śledztwie na cichym wiejskim cmentarzu stanęła druga mogiła, usypiana ręką życzliwych ludzi.

W kilka dni po pogrzebie Tomka zjawił się we wsi Jędrak i jak obłąkany biegał od chaty do chaty.

— Co się tu działo? Dlaczego nie odpisywali mi? — pytał Matusowej. — Żeby nie pisarz, anibym wiedział o niczem. Nieszczęśliwy ja człowiek!

Dopiero pocztarek, przybyły z miasta do rodziny na wieś, rozwiązał zagadkę, otaczając listy Tomasza, leżące najspokojniej na biurku pocztowem. Stary Tomasz i Jędrak nie wiedzieli o tem, że jednocześnie, kiedy Wole zamieniono na Willburg, podobnemu losowi uległo i Wróblewo; listy więc oznaczone polskim adresem, jako niewłaściwie użytym, chociaż stanowiły o losie i życiu adresantów, nie były wysyłane. Urzędnik pocztowy, Niemiec, a do tego przyjaciel Filnera, mimo iż Tomasz codziennie przychodził dowiadywać

się o listy, nawet nie trudził się objaśnić biedaka. I znów jedna więcej niesprawiedliwość ludzka utonęła w odmęcie życia.

Jędre skamieniał na tę wiadomość.

— To tak umyślnie wyprawił mnie do Wróblewa, aby prędzej postawić na swoim. Zabił ich wszystkich; bez księdza, bez spowiedzi pomarli — opowiadał chłopom. — Chyba stąd ucieknę, bo inaczej spalę i zamorduję wszystkich.

Wśród łez i żalu za zmarłymi, za kawalkiem wydartej ziemi, przyszła mu na myśl Ameryka. Tyle o niej słyszał, takie cuda rozprawiano o tym kraju, że postanowił wyjechać.

„Przynajmniej tam niema landratów i Filnerów“ — myślał sobie w duszy.

W kilka tygodni po tych wypadkach na świeżych grobach postawił krzyż, własną wyciosany ręką, syna umieścił u chrestnej Matu-sowej, a sam wyruszył do Poznania, aby z innymi rozbitkami puścić się za morze.

Rozpacz i nędza wyгнаły go z rodzinnej ziemi; nie wiedział biedak, że, uciekając przed tyraństwem i srogością Filnera, narażał się na równie ciężkie, smutne, pełne walk i goryczy tulactwo. Całując syna po raz ostatni, żegnał go temi słowy:

— Pamiętaj, Kubuś, że źli ludzie zabili ci matkę, a ojca wypędzili na kraj świata.

Malec, jakby zrozumiał słowa ojca, rozplakał się szczerze, a stara Matusowa opowiadała wszystkim, że w dniu tym nie mogła go utulić do snu.

Tymczasem w Willburgu, na gruncie, niegdyś Tomasza własnością będącym, szybko nowe stawiano budynki—i nim pierwsze spadły śniegi, *Gasthof zur Stadt Ohlau*, z czerwonym, niby krwią ludzką umalowanym dachem, widniał już z daleka. Lecz mimo kosztownego urządzenia, najlepszych zakąsek i bawarów, ludzie omijali karczmę; chyba ktoś z dalekich stron przybyły, a nieznający losu poprzednich jej mieszkańców, zanocował w niej wypadkiem. Chłop wolski za żadną cenę nie byłby wypił w niej kieliszka wódki. Utrzymywali wszyscy, że duch Tomasza, mszcząc się za doznane krzywdy, wypędza karczmarzowi gości.

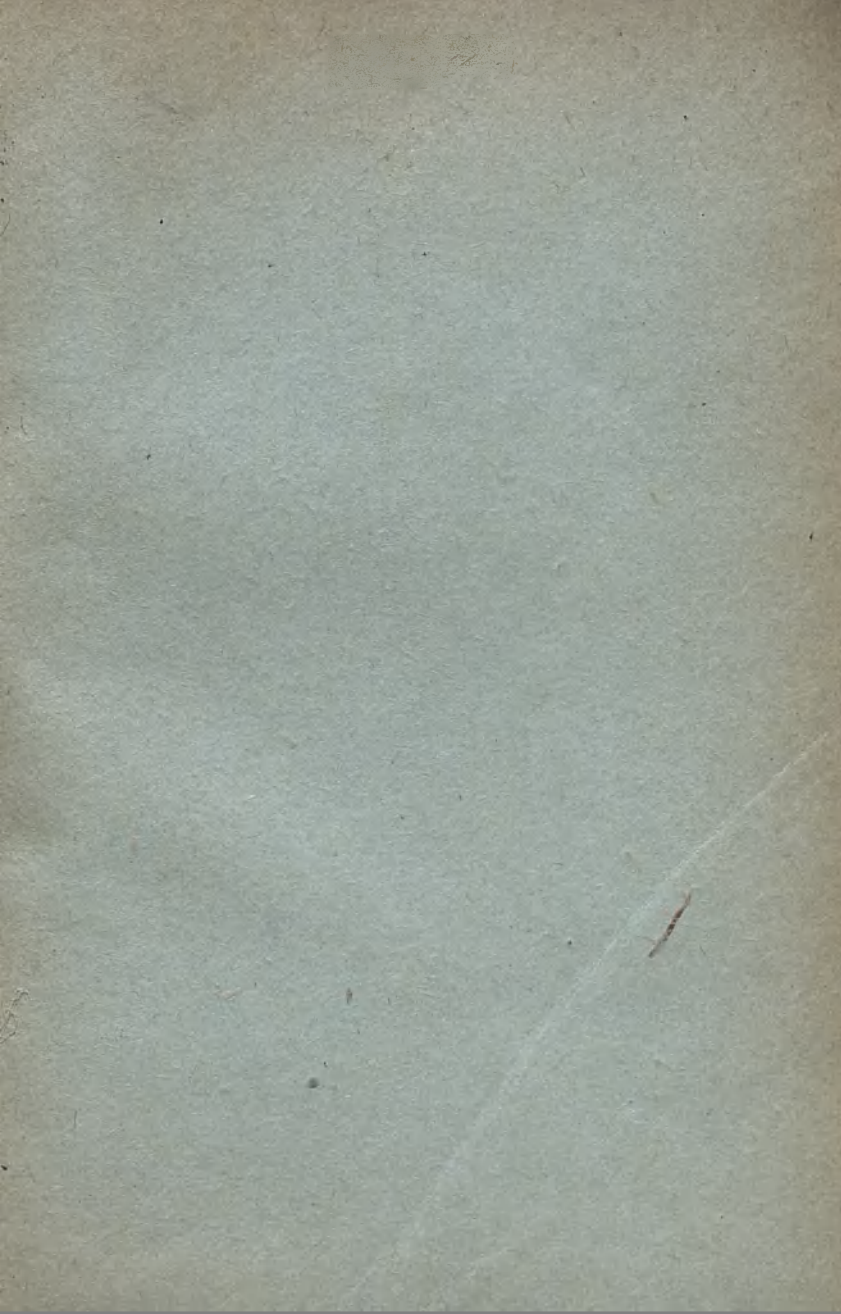
Po raz pierwszy w życiu przerachował się Filner. To też, wściekły ze złości, klął na czem świat stoi *die verfluchten Polaken*, a tymczasem wierzby na mogile Tomka i Baški szumiały, nucąc po swojemu pieśń o ludzkiej nędzy i niedoli.

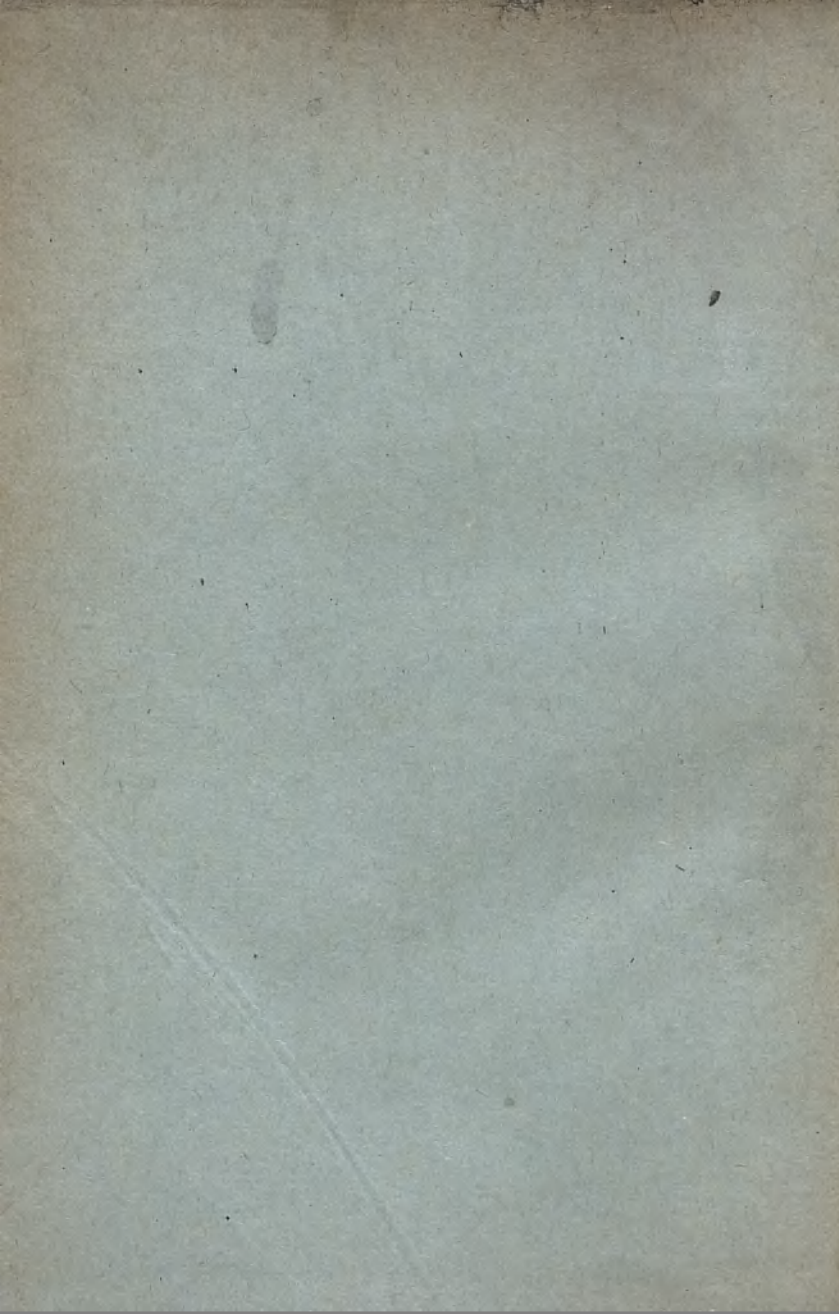


TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
Proboszcz	3
Na Górnym Śląsku	15
Tatrzański przewodnik	47
Nad morzem	58
Wólka i Willburg	91







WILKOWSKI
KATOWICE

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000701251



I 67365